Nr. 33. Poznań, Niedziela 11go Listopada 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

NASI „POLITYCY“!

Protest wzniesiony przez posła Lewakowskiego w parlamencie wiedeńskim przeciwko uroczystemu wyrażeniu boleści z powodu śmierci cara i czci dla jego pamięci — wywołał z jednej strony bezwzględną krytykę, z drugiej gorące pochwały. Młodoczesi obrzucili Lewakowskiego obelgami,, z kraju otrzymał on setki telegramów z wyrażeniem uznania za odważne i godne narodu wystąpienie. Dziennikarstwo wiedeńskie podzieliło się w zdaniach, ą z artykułów pism galicyjskich mądry byłby ten, coby wiedział jaka rzeczywiście panuje opinia.

Stojąc zdala od stronnictw galicyjskich, nie przejęci ich chwilową namiętnością, możemy spokojnie wyrazić swoje zdanie o zachowaniu się posła Lewakowskiego i wogóle o całej sprawie, które je wywołała.

To co p. L. powiedział jest prawdą, jest świętą prawdą. Każdy szczery polak czuje to dobrze, iż nie nam przystoi się smucić ze śmierci władcy, co przez 13 lat swego panowania, czy z własnej woli, czy z jej braku, pozwolił siepaczom swoim znęcać się nad naszym nieszczęśliwym narodem. Trzeba być więcej niż świętym, ażeby umieć przebaczyć krzywdy doznane przez cały ogół, a nie zasłużone, lecz barbarzyńską polityką podyktowane. Do takiego zaparcia się nie dorośli nawet męczennicy pierwszych wieków chrześcijaństwa: ginęli z modlitwą na ustach, ale nie myśleli zapewne o przebaczeniu swym katom. Jeden Chrystus przebaczył tym, którzy „nie wiedzieli co czynią“, ale zmarły car wiedział co czyni — był chrześcijaninem.

Lewakowski powiedział prawdę, ale często prawda nie wporę wypowiedziana nietylko chybia celu, ale smutne przynosi następstwa. Jeżeli kto o tem powinien pamiętać, to przedewszystkiem ci ludzie, co są reprezentantami ogółu, za których też społeczeństwo odpowiada.

Nowy car, dzięki zbrodni popełnionej przed stu laty i dzięki olbrzymiej sile bagnetów jest chwilowym panem losów większości naszego narodu. Jakim on jest jako człowiek, jakim będzie jako monarcha, nie wiemy i wiedzieć jeszcze nie możemy. Stoimy więc wobec zagadki.

Jeżeli Mikołaj drugi zamierza iść torami swego ojca, to dobrze, bardzo dobrze się stało, że Lewakowski wzniósł swój protest. Nic on nam nie zaszkodziłby, a byłby stwierdzeniem, że przygotowani na dalszy ucisk, nie tracimy ducha, nie poddajemy się ciemiężycielom.

Nie zaszkodziłby ten protest i w drugim wypadku t. j. jeżeli Mikołaj II ma siłę woli i postanowił bez względu na podszepty Kamaryli otworzyć podwoje Rosyi dla cywilizacyi, postępu, uznania praw człowieka i narodowości. Kto ma takie zamiary, tego z obranej drogi nie sprowadzi głos choćby tak dla niego nieprzyjemny, jak ten, który się rozległ w parlamencie wiedeńskim.

Ale ludzi silnej woli i energii, idących drogą wytknięta, nie zważających na przykrości i przeszkody w przeprowadzeniu powziętych planów jest na świecie bardzo mało. Może na tysiąc znajdzie się jeden, który tak zdoła okiełznać swoje złe i dobre instynkta, taką mieć moc nad wszelkiemi zewnętrznemi pokusami tak się uzbroić w stal cierpliwości, że nie da się złamać innym ani samemu sobie. Na jakiej zaś podstawie możemy sądzić, że nowy samodzierca nie należy do pozostałych dziewięciuset dziewiędziesiesięciu dziewięciu? Owszem, według wszelkiej logiki musimy przypuszczać, że nie jest tym jednym z tysiąca.

Musimy przypuszczać, że widząc rezultaty panowania swych poprzedników czuje to dobrze, iż potrzeba wpuścić nowę świeżą krew w żyły wielkiego państwa. Zwiedzał świat, a więc widział, jaką potęgą jest wolność, jak rozsadza wszelkie stawiane sobie zapory. Jest młodym, a każdy człowiek młody sprzyja reformom, widzi złe wyraźniej niż oczy starca, łatwiej odczuwa niesprawiedliwość, z większym zapałem przykłada rękę ku dobru ogólnemu. Kto wie, może w duszy młodego władcy Imperyi rosyjskiej kiełkują te nasiona, które pragną wystrzelić w kwiat uszczęśliwienia stu milionów. A jeżeli tak jest, to wszelkie nierozważne drażnienie jego uczuć synowskich może wywołać wprost przeciwne skutki od zamierzonych. Gdyby był jednym z tysiąca, nie uważałby na miłość własną, ale jeżeli nim nie jest, co ma za sobą 999 proc. prawdopodobieństwa, to słowa wypowiedziane przez posła Lewakowskiego mogą być kroplą, co może przeważyć szalę na niekorzyść naszą. Nie brak przy młodym carze ludzi, którzy dalsze gnębienie Polaków uważają za konieczność podstawową rosyjską. Tym poseł Lewakowski dał broń do ręki, ci nie omieszkają wyzyskać słów jego dla prowadzenia dalej antipolskiej polityki.

Są to wszystko przypuszczenia, ale mąż stanu wszystko przypuszczać powinien, ze wszystkiem powinien się liczyć. Jemu nie wolno wyrywać się z własnem „uczuciem“, choćby ono było najszlachetniejszem, jeżeli przez to może narazić sprawę publiczną. Dla tego też postąpienie posła Lewakowskiego musimy nazwać karygodnem. To co uczynił, nazywają niektórzy odwagą, a szmajgełesy z wiedeńskiego „Tageblatu“ nadali mu nazwę Rejtana. Smutnem to byłoby zaiste gdybyśmy zeszli na takich Rejtanów. Tamten, ów wielki, narażał siebie, a bronił praw narodu. Ten drugi siebie całkiem nie narażał, a sprawie ogólnej szkodę przynieść może.

Jeżeli jednak potępiamy Lewakowskiego, to nie mniej potępić musimy zachowanie się Koła polskiego.

Manifestacya żałobna w parlamencie wiedeńskim nie miała racyi bytu. Kiedy Aleksander II padł od zbrodniczego zamachu, do podobnej manifestacyi nie dopuszczono, a przecież można ją było wytłomaczyć tragicznością wypadku. Śmierć Wilhelma I znalazła wprawdzie odgłos w parlamencie wiedeńskim, ale była to śmierć monarchy państwa zaprzyjaźnionego, moralnego przywódzcy trójprzymierza, do którego Austrya się wpisała. Aleksander III nie był monarchą z trójprzymierza, ani nie zginął śmiercią tragiczną swego ojca. Zkąd też opłakiwać w zmarłym „wiernego i wypróbowanego przyjaciela“, czcić pamięć jego jako „ucieleśnienia pokoju“, mówić, iż „wszystkim cywilizowanym ludom świata pozostawił piękną spuściznę“, nazywać śmierć jego „tragicznym (?) i głęboko wzruszającym wypadkiem“ — było zbytecznem i kłamliwem.

Koło polskie i dwaj panowie ministrowie polacy powinni byli oprzeć się tej niewłaściwości, temu kłamstwu. Kiedy Węgrzy, którym nic Aleksander III nie zawinił namyślają się, czy im wypada zdobyć się na grzeczność żałobnej manifestacyi — nasi panowie delegaci, nasi panowie ministrowie, synowie prześladowanego przez zmarłego cara narodu, z lekkiem sercem przystali na to co ich oburzać było powinnno. Wszelkie służalstwo powinno mieć swoje granice — w tym wypadku żadnych granic nie miało. Trudno zaiste coś wstrętniejszego sobie wyobrazić jak przedstawicieli narodu polskiego „opłakujących“ gnębi-

ciela, „dziękujących“ mu, że był bezpieczną ostoją pokoju, głęboko wzruszonych tragicznym wypadkiem“.

Nie należało do manifestacyi dopuścić, a jeżeli z wyższych względów (te nieszczęsne wyższe względy zawsze osłaniają karyerowiczowstwo, brak odwagi i impotencyę umysłową) dopuścić było trzeba, to było rzeczą wskazaną nie wziąć udziału w manifestacyi. Niech sobie opłakują cara liberały i konserwatysty niemieckie, młodoczesi, słowieńcy i antisemici, ale niech nie ronią łez Polacy. Niktby im tego nie wziął za złe, bo nawet Pobiedonoscowom marzyć się nie może, aby Polacy dobrowolnie, nie przymuszeni opłakiwali swego ciemiężyciela.

Sądzimy, że młody car, jeżeli umie myśleć porządnie i nie pozbawiony jest uczuć ludzkich, gdyby mu doniesiono, że Polacy galicyjscy usunęli się od manifestacyi żałobnej, powiedziałby donosicielom: „przecież od nich żalu spodziewać się nie było można!“

Wogóle cała sprawa wiedeńskiej manifestacyi żałobnej dziwne czyni wrażenie. Liberali płakali nad despotą, katolicy nad ciemiężycielem ich religii, Polacy nad swoim nieubłaganym wrogiem — Austrya płakała nad tym, coby z miłą chęcią zniweczył jej byt państwowy, co widział w niej zaporę zagarnięcia pod swoje berło ludów słowiańskich, co ją nienawidził w duszy może więcej aniżeli zgnębionych i bezsilnych polaków. Co to za perfidia! jaki brak elementarnego poczucia godności!

Jedni młodoczesi byli w porządku. Czyżby oni rzeczywiście dziś rządzili państwem austryackiem, kiedy do ich woli i „uczuć“ wszystko się zastosowało.

Zawsze brakuje nam umiarkowania. „Prawda posła Lewakowskiego, to szczyt lekceważenia stosunków i nieznajomości politycznych potrzeb społeczeństwa — to brak wszelkiej polityki, — kłamstwo Koła polskiego to polityka tak wysoka i tak śliska, iż grozi w razie upadku zabiciem godności narodowej.

B.

POLITYKA.

Po śmierci cara.

Petersburg 29 listopada.

Od czterech już dni mamy nowego cara. Chwilowe polepszenie w chorobie Alexandra III było więc ostatniem szamotaniem się ze śmiercią potężnego organizmu. We czwartek rano ukazał się buletyn odejmujący wszelką nadzieję, a już o piątej wiedziano w mieście nieoficyalnie, że car nie żyje. O kwadrans na ósmą ukazały się oficyalne buletyny o śmierci, lud zaczął się zbierać z końców miasta na główne ulice; przez parę godzin rzeczywiście panował niezwykły jak na Petersburg ruch, ale około godz. 10-tej już się wszystko uspokoiło, do czego niemało przyczyniło się rozporządzenie o zamknięciu wszystkich szynków i piwiarni. Ruska dusza potrzebuje podkrzepienia się alkoholem tak w smutku jak i w radości i zamknięcie przybytków Bachusa jest we wszystkich ważnych chwilach najlepszym środkiem dla zapewnienia spokoju i porządku. Manifest nowego cara, zwiastujący o wstąpieniu na tron i rozkazujący wszystkim poddanym złożyć przysięgę, ukazał się dopiero nazajutrz. Manifest ten zrobił dość dodatnie wrażenie. Nie czuć w nim napuszonego cerkiewnego stylu p. Pobiedonoscewa, podobno jest napisany przez Wielkiego Księcia Konstantego Konstantynowicza, postępowca i literata. Zwrócono też uwagę na to, że nie ma w manifeście mowy o wierności, zasadzie „samodzierstwa“, a tylko jest mowa o pamiętaniu rad ojca. Prasa podchwyciła już ten nieco inny ton manifestu i probuje z lekka i bardzo ostrożnie napomykać carowi, że naród oczekuje od niego nietylko uprawnienia w dalszym ciągu pokojowej polityki ojca, ale i reform w wewnętrznej polityce. „Nowoje Wremia“ n. p. kończy pierwszy swój wstępny artykuł poświęcony Mikołajowi II. temi słowy: *„młodość nie przeszkadza czynić dobro i pokój, żądać prawdy od wszystkich, a szczególnie od bezpośrednich sług monarchy. Przeciwnie, młodość jest to epoka szlachetnych dążności, bezinteresownych uczuć i miłości prawdy i ludzi. Naród rosyjski nie jest zepsuty przez szczęście; jest to naród wdzięczny, który nie trudno jest uszczęśliwić.“* „Nowosti“ kładą szczególny nacisk na to miejsce manifestu, gdzie młody car mówi o swoim postanowieniu, panować dla szczęścia wszystkich swoich poddanych.

„Dążenie do zapewnienia szczęścia *wszystkim poddanym*, mówi organ petersburgskich liberałów, pociąga za sobą jako konieczny warunek pokój i chroni przed wtrącaniem w cudze sprawy bez gwałtownej potrzeby“. Dalej nieco toż pismo daje następującą nauczkę nowemu carowi. „Wszystkie udoskonalenia, najtrudniejsze i najgłębiej sięgające reformy, wszystko jasne i dobre co zstępowało u nas *z góry*, dzięki inicyatywie i staraniom najwyższych wodzów rosyjskiego narodu. Tak było za Włodzimierza świętego i Włodzimierza Monomacha; tak było w epoce reform Piotra wielkiego, Katarzyny II i Aleksandra IIgo; nie będzie inaczej i za panowania Mikołaja IIgo“. W taki sposób powaga w Rosyi nigdy nie przemawiała do carów. W tym jeszcze bardzo oględnym i wstrzemięźliwym tonie uczuć jednak chęć poddania młodemu monarsze pewnych myśli, które tak zajmują dziś całą lepszą część rosyjskiego społeczeństwa. Rzecz godna uwagi, że w szeregu carów, oraz licznych przez „Nowosti“ i stawianych jakby za przykład Mikołajowi II-mu nie ma wzmianki o Aleksandrze III. który także trudnił się zaprowadzeniem reform. Znaczy to, że według zdania pism reformy te nie były dobre, ani pożądane; jest to wprawdzie „argumentum a sitensis“, ale jak na tutejsze stosunki prasowe. to i to posiada pewną wartość. Wiele nadziei wzbudza obecność w Petersburgu hrabiego Milutyna, dawnego ministra wojny i znanego zwolennika konstytucyi. Hrabia Milutyn, usunięty przez Aleksandra III trzymał się na uboczu przez cały czas panowania zmarłego cara, dopiero podczas ostatniej jego choroby zjawił się w Krymie, wiele obcował tam z następcą tronu i na kilka dni przed śmiercią cara przybył do Petersburga. Opinija publiczna wskazuje na starego literata jako na przyszłego najbliższego doradzcę Mikołaja IIgo. Z obecnych ministrów najbardziej zachwianym ma być stanowisko ministra spraw wewnętrznych p. Durcowa, którego ma zastąpić jego towarzysz p. Klewe; niepewni swoich miejsc są również ministrowie oświaty hr. Dalianow i komunikacyi p. Krywoszin.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się we środę 7 listopada. Ciało Aleksandra IIIgo będzie przewiezione do Moskwy, gdzie zostanie wystawione przez jedną dobę w Kremlu i prawdopodobnie w poniedziałek przybędzie do Petersburga. Cesarz i cała rodzina mają asystować zwłokom w tym samym pociągu, który z tej przyczyny musi być niezmiernie długi: mówią o 150 sążniach, t. j. $^1/_3$ kilometra. Robiono jakoby carowi uwagi, że taka długość jest

---

MAURYCY ZYCH.

„Rozdzióbią nas kruki, wrony.“

Bajka.

Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się pokryjomu, uwidoczniając krajobraz płaski, rozległy i zupełnie pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zważyła już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, zczerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególniej role świeżo uprawne i zasiane rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki (bardziej znany pod przybranem nazwiskiem Szymona Winrycha), wyjechał z za pagórków rajgorskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyzny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej drożyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach, ruszył wprost przed siebie, napoprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkiem błocie rozciapały tak misternie, że przyszwy szły swoim porządkiem, podeszwy swoim porządkiem, a bose stopy w zupełnem odosobnieniu. Bardzo przemókł i przeziąbł do szpiku kości. Ktożby zdołał poznać w tym obdartusie byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraternii t. z. śrubstoków, dawnego Jędrka, króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły „w orle pióra“, paznogcie „w dzikie szpony“, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochą olszowego chróstu, siana i słomy leżało samych karabinów sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszy, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy; rosłe, podkasane, prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły iść najmniej dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popaść. Konie należały do pewnego szlachetki z okolic Mławy. Stanowiły one znaczną część jego majątku, bo posiadał sumą sumarum trzy szkapy, jednakże pożyczał ich Winrychowi na każde zapotrzebowanie. Ten ostatni przychodził zazwyczaj późno w nocy, stukał do okna domostwa, — wychodzili obydwaj z gospodarzem, wyprowadzali konie cichaczem, aby nie budzić parobka, wytaczali wóz i jazda! Letnią porą była to rzecz wcale łatwa, owa jazda. We dnie Winrych spał w gąszczach leśnych, a konie się pasły. Teraz niepodobno było ani spać ani popasać. Winrych liczył na to, że go ktoś zluzuje, zwłaszcza, że najuciążliwsze posterunki i przeszkody szczęśliwie wyminął. Ale nie takie to już były czasy... Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całem i zupełnem znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on to cała partya byłaby się oddawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylęknionych wspierał swemi szyderczemi półsłówkami i podniecał, jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi, on się, jak to mówią zawziął. W miarę tego, jak nietylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw t. z. polityki rewolucyjnej wciskać sie poczęła coraz bez-

niebezpieczną ze względów technicznych, ale odpowiedź była: „Tak chcę, chociażby wypadło zmniejszyć prędkość do minimum“. Po drodze będzie dłuższa stacya w Borkach, gdzie już wykończono cerkiew na pamiątkę ocalenia cara podczas rozbicia pociągu w 1888 roku. Właściwie mówiąc, to ocalenie było tylko odwleczeniem śmierci na kilka lat, gdyż według opinii lekarzy istotną przyczyną choroby cara jest właśnie doznane wtedy fizyczne i moralne wstrząśnienie.

Dotąd jeszcze wszystkie pisma są przepełnione panegirykami, poświęconymi pamięci zmarłego cara. Trzeba jednak przyznać prasie rosyjskiej, że z wyjątkiem takich niepoczytalnych pism, jak „Moskowskie Wiedomosti“ i „Grażdanin“, jest bardziej umiarkowaną i powiedzmy wprost, bardziej przyzwoitą w wychwalaniu nieboszczyka od prasy zagranicznej. Nie mówię o Francuzach, którym tak wypada, i których ignorancya we wszystkim, co nie dotyczy Francyi, jest znaną; ale głosy pism angielskich i niemieckich, przytoczone przez tutejsze gazety, robią wrażenie takiego płaszczenia sie przed Rosyą, jakiegośmy dotąd jeszcze nie spotykali. Sami Rosyanie z pewnym zdziwieniem pytają: Co to jest? Jeżeli to szczere, to chyba trzeba przyznać, że ta ukochana przez tutejszych liberałów zachodnia Europa już prawie zupełnie dojrzała do dyktatury, albo według przepowiedni Napoleona do kozackiej nahajki; jeżeli zaś udane, to cui bono? Unosić się tak bezwzględnie nad człowiekiem, który żelazną dłonią dławił postęp i trzymał w więzach niewoli i ciemnoty najliczniejszy naród w Europie, może chyba ktoś taki, któremu swoboda obrzydła do ostateczności. Nie mówię już o prześladowaniu innych narodów, które mają nieszczęście zostawać pod berłem carów, bo to się praktykuje i na Zachodzie i widocznie najzupełniej harmonizuje z cywilizacyą, ale przynajmniej wypadałoby zwrócić uwagę na to, że zmarły car był nieubłaganym wrogiem wolności prasy i nauki. To też pisma rosyjskie, zawsze z pewnymi wyjątkami, bardzo wstrzemięźliwie mówią o wewnętrznej polityce Aleksandra IIIgo i zadawalniają się przeważnie wyliczaniem całego szeregu jego reform bez żadnych komentarzy. Wszyscy za to jednogłośnie wynoszą pod niebiosa pokojową zewnętrzną politykę zmarłego i jemu tylko jednemu przypisują uchronienie Europy od wojny w ciągu ostatnich 16 lat, wprawdzie, jak dodają nieraz kosztem godności i rzeczywistych interesów Rosyi. Że Rosyanie są wdzięczni Aleksandrowi III-mu za to, że nie wplątał Rosyi w wojnę wtedy, kiedy nie była jeszcze do niej przygotowaną, jest to rzecz bardzo łatwa do zrozumienia, chociaż nie brak takich rosyjskich patryotów, którzy szczerze życzyli porażki swojej drogiej ojczyzny, gdyż tylko od tej porażki mogli spodziewać się pewnego zwrotu ku lepszemu w wewnętrznej polityce. Ale czego się tak zachwyca Zachodnia Europa, która dzięki właśnie tej ogledności zmarłego cara będzie kiedyś mieć do czynienia z Rosyą potężniejszą i lepiej przygotowaną, to trudno istotnie zrozumieć. Zewnętrzna polityka Aleksandra IIIgo polegała na tem, że znając stosunkową słabość Rosyi, postanowił znosić wszelkie porażki swojej dyplomacyi, wszystkie zaczepki i upokorzenia, byle tylko nie wywołać burzy przed czasem, t. j. dopóki się nie poprawią finanse, dopóki ogromna większość sił zbrojnych nie zostanie zgromadzoną na zachodniej granicy, dopóki rezerwy nie otrzymają broni nowego systemu, dopóki wykończone nie będą nowe koleje strategiczne, wybudowaną flota na Czarnym morzu i t. d. Wszystko to się robiło i robi z taką energią i znajomością rzeczy, jakich napróżno szukamy w innych dziedzinach życia państwowego. Pod względem gotowości do wojny Rosya Aleksandra IIIgo niepodobna już ani trochę do Rosyi Aleksandra IIgo i kiedyś Zachodnia Europa przekona się może na sobie samej, jak niedogodną dla niej była polityka zmarłego cara, za którą go dzisiaj wynosi pod niebiosa. *N.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Radikalni Listy“ główny organ Omladiny pisze pod nagłówkiem „Kto rzidi-czeskon politikon“ (kto kieruje czeską polityką), jak niżej:

„Każdemu bacznemu widzowi śledzącemu bieg naszych spraw politycznych podpaść musi jeden objaw: że u nas jest mało inicyatywy politycznej, pracuje się tylko z dnia na dzień, nie pracuje się samodzielnie według planu wytkniętego starannie; nie jesteśmy czynnikiem samodzielnym, jednem słowem działają na nas wpływy zewnętrzne.

„Tem jest w pierwszym rzędzie rząd sam: nasze czyny polityczne, nawet najbardziej opozycyjne, nie miały pobudek w zasadach, ale wywołało je zachowanie się wobec nas rządu. Stan wyjątkowy zaprowadzony w Pradze, był jednym z tych faktów, które podziałały na decyzye stronnictwa, na jego rozwój i kierunek.

„Drugim czynnikiem jest dziennikarstwo oficyalne i nieoficyalne niemieckie, do którego przyłącza się prasa staroczesko. Skoro w jakiem piśmie niemieckiem pojawi się zdanie o nas, staje się to natychmiast przedmiotem dyskusyi i długich sporów. Ostatniemi czasy było wiele faktów, ilustrujących twierdzenie nasze. Jeżeli zarzuci się stronnictwu, że się zachowuje nielojalnie, że okazuje dla państwa, armii etc. uczucia wrogie, wnet sypią się argumenta, że to nieprawda, rzeczy całkiem nie na miejscu lub zbyteczne. Z tej to niesamodzielności pochodzą odrzekania się Omladiny, oczyszczanie się ze zarzutu, jakoby za nią odpowiadało stronnictwo, aby nie padł cień podejrzenia o nielojalność na stronnictwo młodoczeskie. Najwymowniejszym dowodem tego, co twierdzimy jest organ oficyalny stronnictwa: *„Narodni Listy“*, dziennik opozycyjny, zamieszczający bombastyczne artykuły wstępne, mimochodem tylko dotykające się spraw czeskich, pobieżne artykuły polemiczne, obszerne relacye wszelkich wypadków i nieszczęść w Pradze, suchy i częstokroć bez głębszej myśli przegląd literacki i spory zapas wiadomości ekonomiczno-gospodarskich. Charakterystycznem jest i to, że w kwestyi stanowiska wobec nas wywarło na Młodoczechów wpływ wystąpienia półurzędowych pism niemieckich. Tak przychodzimy do tego rezultatu, że zachowanie się stronnictwa młodoczeskiego zawisło od „Narodnich Listów; „Narodni Listy“ znowu od prasy niemieckiej i Staroczechów, a Niemcy i Staroczesi od rządu. O Staroczechach mówi się jako o stronnictwie uwagi niegodnem, a jednak tyle poświęca się im polemik i czasu!

Stronnictwo młodoczeskie, jak widzimy z tego ustawienia, jest bez zasad, jest ono słabą trzciną, której opozycya nie budzi poszanowania, przeciwnie stać ono może w rzędzie stronnictw rząd popierających. Jeżeli stronnictwo to chce nadal u steru się utrzymać, musi posiadać fundusz pewien zasad, objawionych w jasnym i zrozumiałym programie...“

* * *

Organ młodosłowińców *„Slovenski Narod“* tak się rozpisuje o idei cyrylo-metodyjskiej:

„Cyrylo-metodyjska idea ma do nas przemawiać i ze stanowiska ogólno-słowiańskiego. Idea ta ma być nietylko obroną Słowian wobec germanizacyi i romanizacyi, ale ma narody słowiańskie katolickie odświeżyć, ma stać się łącznikiem pomiędzy Słowianami wschodnimi i zachodnimi, katolikami, a prawosławnymi.

„Żebyśmy Rosyi stali się bliższymi, przyjmując prawosławie, tego nie zaprzeczamy, ale słowiańska liturgia, a prawosławie, to rzeczy różne. Choćby była u nas liturgia słowiańska, boćby dozwolono księżom się żenić — przecież zawsze zostalibyśmy katolikami, a prawosławn

---

czelniej i natarczywiej filozoficzna zasada: *fratres! rapiamus, capiamus, fugiamusque*, — on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakoby wraz z zimnem wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropelki wódki we flaszce. Dziurawe buty, absolutnie wzięte (jeżeli nota bene był w nich milimeter rzemienia zasługujący na to, aby był absolutnie, czy tam inaczej brany), nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych, co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości, ubierając tę podłość w najlogiczniejsze syllogizmy.

— Wszystko przełajdaczone, — szepce Winrych, pogwizdując, — przegrane nietylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącemi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcyi i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukażą i ku czci, oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę: Czasami ją podnosił i mówił przez zęby;

— Psy parszywe.

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu, gwizdały między sprychami, wydymały długie poły sukmany i targały koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzedz jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła, albo — wojsko.

Winrych patrzał przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydzierał ją nazewnątrz.

— Moskale... — wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć po za siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok niepostrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępującego wojska odłamała się grupa jeźdźców, wysunęły przed front i pomknęła, co koń skoczy. Dopiero, zobaczywszy chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zorjentował się dobrze, Wtedy krew szarpiąca w jego pulsach — jakby stężała i stanęła w biegu... Zatrzymał konie, omotał dokoła luśni parciane lejce i namyślał się, co wywlec z wozu do obrony: pałasz, czy sztucer nienabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczenia na wolność tych towarzyszy niewoli. Czyniąc to na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich nie mówiąc ani słowa, począł zrzucać lancą suche gałęzie oraz snopki kłoci i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął, uderzywszy o lufy sztucerów, — żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszów. Tamci sięgnęli po karabinki, założone na plecy. Winrych stał na miejscu, jak przedtem, obejmując ramieniem kark konia. Usta mu się skrzywiły

Rosyanie zostaliby prawosławnymi. Po jednej stronie stać będzie rzymski papież, po drugiej car. Jak widzimy w owem połączeniu Słowian zachodnich z wschodnimi'jest cel głębszy i zawilszy, a rozwiązać się nie da liturgią słowiańską. Tak Rosyanie, jak każdy inny naród słowiański ma swą indywidualność historyczną, Różnicę załagodzić, to znaczy wyrzec się indywidualności narodowej. Czy to kiedykolwiek uczynimy? — nigdy.

„Zawsze starać się będziemy zbliżać do Rosyan, ale swoją indywidualność narodową zachowamy. Taki sam jest nasz stosunek nietylko do Rosyan, ale i do innych Słowian. Nierozważnem jest mówić o *narodzie* słowiańskim, nie o *narodach* słowiańskich. Nie można Słowian zjednoczyć i zrównać, można ich tylko do siebie zbliżyć..."

* * *

Wśród Chorwatów, w łonie t. z. „stronnictwa prawa" powstał rozdział. „*Il Pensiero Slavo*", występujący przeciw dr. Frankowi w artykule napisanym po chorwacku, pisze tak:

„Crocna Hrvatska" wychodząca w Dubrowniku, ażeby tam szerzyć ideę chorwacką wśród Serbów katolickich nazwała nas politycznymi niebożczykami. Dla czego? Czy dla tego, że nie wierzymy w naukę Folnegovicza, który głosi, iż jedyna nasza nadzieja jest w przymierzu z Madziarami, choćbyśmy przez to działali na niekorzyść reszty Słowian węgierskich, — że nie wierzymy w posłannictwo Stambułowa, którego organy stronnictwa prawa pod niebo wynoszą, że nie zrzekamy się idei słowiańskiego braterstwa? Nie mogąc nam nic zarzucić, zrzucają na nas winę, że Rjeka zginęła dla Chorwacyi!

„*Crvena Hrvatska*" twierdzi, że odkąd stronnictwem prawa kieruje Franko, wstąpił w Chorwatów nowy duch. Prawda! W całym Banasie panuje atmosfera Frankowa, t. j. atmosfera (szwabski varduch). Dzięki stronnictwu Frankowemu, staje się dziś Zagrzeb pionierem niemczyzny w Chorwacyi. Nietylko Rjeka jest w niebezpieczeństwie, ale cała Chorwacya, odkąd madziarofilski i niemczyźnie chętny duch Dr. Franka opanował stronnictwo prawa.

„On to w swym przybocznym organie nazywa Czarnogórców rozbójnikami, stara się wszelkim sposobem rozniecić pomiędzy dwoma bratniemi narodami walkę, uczynić Chorwacyą obcą Słowiańszczyźnie.

„Nam patryotyzm dr. Franka, żydowskiego przechrzty (pokrsteny czifut) nigdy imponować nie będzie."



Z DAWNYCH DUM.

O! ty mi nie mów, że obczyzny słońce
Wygnańca serce jako liść wypali,
Że rysy twoje zwieją wiatry dmiące
A pamięć spłynie z wodą obcej fali,
Ty mi tak nie mów, bo wśród gromów chóru
Jam już skamieniał jako głaz z marmuru.

Ty mi tak nie mów, bo gdy raz wyciosa
Rzeźbiarz w marmurze nieśmiertelne kształty,
Żar ich nie spali, nie zmyje ich rosa,
Ani je zdmuchną dzikie wichrów gwałty,
A chociaż kiedyś tam piorunów granic
Marmur rozsadzi, ślad dłuta zostanie.

Więc ty mnie nie wiń, bo ja tak pobladnę
Jak bez powietrza bławatów kielichy,
I pełen drżenia u stóp twoich padnę
Jak białe jagnię łagodny i cichy,
A potem pójdę — widmo bezprzytomne, —
Nic ci nie powiem, ale nie zapomnę.

W. R.

Fazy twórczości Asnyka.

Trzydzieści lat temu w „Dzienniku literackim" z 18go listopada pojawiły się bezimiennie dwa utwory poetyckie, podpisane znakiem wyciągania pierwiastka kwadratowego (√‾). Jeden miał tytuł „Podróżni", drugi zaś „W zatoce Baja". Czy wówczas zwrócił kto na nie baczniejszą uwagę, nie wiem. Czasopisma pomieszczały wtedy bardzo wiele poezyi najrozmaitszej wartości i piór najróżnorodniejszych, tak że nic by dziwnego nie było, gdyby utwory owe zginęły w tłumie wierszy i wierszydeł. Nie uwydatnił ich bowiem ani ton namiętny i donośny, ani też pomysł niepowszedni; odznaczały się one tylko tęskną zadumą i wykończeniem artystycznem. Istotnie jeżeli pominiemy w pierwszym utworze jeden rym mniej udatny (ż a ł o b ą - g r o b o m) i jedno niepoprawne pod względem językowym wyrażenie (za nowem c z e k a j ą c switaniem), to zresztą znajdziemy tu tak doskonałą budowę zwrotek sześciowierszowych, taką dźwięczność i swobodę wiersza, taką świeżość i oryginalność zwrotów, że już z nich domyślać się było można mistrza formy, który widocznie próby przygotowawcze pozostawił w swej szufladzie, a do druku przesyłał już rzeczy wytwornie obrobione.

Snać myslała tak redakcya „Dziennika literackiego", gdyż nowemu współpracownikowi swemu coraz częściej udzielała miejsca i to dla utworów większego rozmiaru, jak: „Julian Apostata", „Asceta", „Aszera", „Odłamowi Psychy Praksytelesa", „Sen grobów", ktore wciąż wspomnianym już znakiem były podpisywane. Nastąpiła potem półtoraroczna przerwa; tak, że dopiero pod koniec roku 1867 zaczął „Dziennik" na nowo pomieszczać utwory znanego już sobie poety, który tym razem dla ogółu czytelników przedstawiał się już to jako litera *y*, już to jako zgłoska *El*, a wreszcie z połączenia tych dwu oznaczeń powstał pseudonim *El....y*, którego odtąd miał ów poeta używać stale, ogłaszając swoje liryki i dramata, gdy drugim pseudonimem Jan Stożek posługiwał się, drukując szkice powieściowe lub komedye. Ostatecznie stało się wiadomem nietylko dla wtajemniczonych, ale i dla ogółu, że dr. Adam Asnyk, który miał w r. 1872-im odczyt o Trubadurach, jest autorem ukrywającym się pod owemi dwoma pseudonimami.

Dotychczas starano się określić rodzaj talentu Asnyka w ogólności, lub też wydobywano z jego poezyi poglądy na przyrodę; ja chciałbym spróbować metody genetycznej i wskazać, jaki jest jego nastrój zasadniczy i jakie w kolei czasów w ciągu trzydziestoletniej działalności jego zachodziły w nastroju tym zmiany. Wszystkich czytelników uderza wielka rozmaitość usposobienia, wielka różnorodność uczuć opiewanych przez Asnyka: otóż spróbujmy poszukać, czy się nie odnajdzie jakiegoś gruntu wspólnego, na którym owe usposobienia wyrosły, a owe uczucia rozwinęły się.

I.

Gdy Asnyk pierwsze poezye swoje drukować zaczął, nie był już młodzieniaszkiem, podobnym do większej części poetów, co z nim razem albo nawet wcześniej od niego na widownię wystąpili, Przeszedł on już nawówczas

---

wzgardliwie i w sercu zasiadło nie to męstwo, lecz pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

— Ty do czyjej partyi to wiozłeś? — zapytał go ów rewidujący.

— Głupiś! -- odrzekł Winrych nie podnosząc głowy.

Do czyjej partyi to wiozłeś? Słysz polaczyszka?

— Głupiś!

— To nie chłop, rzekł do podwładnych starszy z naszywką na ramieniu, — to powstaniec.

— Głupiś! — rzekł Winrych, patrząc w ziemię.

— Bierz psiego syna! — wrzasnął żołdak. Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiono lance poziomo. Skazany spojrzał na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko zasłaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił!

— Nie zabijajcie mnie...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozpłatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunąwszy usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w brózdę. Kula przeszyła czaszkę naręcznego konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałośnie i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiedli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszcze i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich, odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę. Dowódzca szwadronu ścigał forsownie jakiś topniejący oddziałek powstańczy, to też nie miał czasu zawrócić po broń, zostawioną na polu na wozie Winrychowym.

Tymczasem deszcz rzęsisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl:

— ...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł.

Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygł szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle przechylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwąchał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furyi, że tylna jego noga wpadła między sprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tem większą. Rozjuszony, wściekłemi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż spiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej wskutek targania ją okrawał.

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprzedzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęło już stadami, już pojedyńczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały na powrót, nieraz zabawnie wyłamywały im skrzydła do góry, albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zniżało

nietylko zwykłą szkołę nauki, ale także twardą i bolesną szkołę życia.

W naukach, zgodnie z kierunkiem wychowawczym, jaki w dobie jego kształcenia się (1850—1860) panował w Królestwie, zdobywał wiedzę realną, przyrodniczo-matematyczną, poczem wstąpił do świeżo otwartej w Warszawie Akademii medyko-chirurgicznej, a następnie na wydział lekarski w uniwersytecie wrocławskim. Rodzaj zatem nauk nie mógł się przyczyniać do rozdmuchiwania uczucia, do wzmagania polotu wyobraźni, budził raczej myśl badawczą, nakłaniał do zastanowienia, do refleksyi.

W szkole życia natrafił na tak powikłane, a tak doniosłe sytuacye, że myśl jego zająć się musiała zagadnieniami nie osobistemi, lecz ogólnemi, że uczucie jednostkowe musiało zamilknąć, by zostawić miejsce dla miłości bezbrzeżnej, zdolnej do poświęceń i ofiar, by sprowadzić dolę szczęśliwszą dla jaknajwiększej liczby ludzi. Marzenia o możności zamienienia ideału w rzeczywistość wypełniały serce młode, jak to później pięknie wypowiedział Asnyk:

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Płynęły na świat idealne mary
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przędzy życia szarej,
A na niebiosach jaśniał blask nadziemski,
Niby wschodzącej znów gwiazdy betlejemskiej.

Poezya romantyczna, mesyaniczne sny i proroctwa wieszczów rozpalały dusze i nadawały niejako sankcyę marzeniom młodzieńca. Nieubłagana atoli rzeczywistość rozrywała co chwila tę złocistą siatkę rojeń. Zawody na każdym kroku rozbijały w puch te wymarzone budowle, które w upojeniu uczuciowem wznosiła fantazya.

Zawodu takiego doznał i Asnyk. Przyuczony już do refleksyi, nie wybuchnął on od razu namiętnym okrzykiem przekleństwa czy rozpaczy, jak to zrobiło wielu innych, lecz się zastanawiać zaczął nad położeniem wytworzonem przez zawód. Uczucie jego nie miało tej cechy bezpośredniości, jaką się odznaczają usposobienia namiętne i gwałtowne, lecz przechodziło przez filtr rozwagi i załamawszy się w pryzmacie fantazyi w barwy tęczowe, w tym dopiero kształcie wypowiadało się w słowach.

Przerwawszy studya uniwersyteckie, przejechał Niemcy i Szwajcaryę i zatrzymał się na dłuższy pobyt we Włoszech południowych, gdzie jesień 1864 roku i zimę następnego przepędził, bawiąc głównie w Neapolu i stamtąd robiąc bliższe i dalsze wycieczki.

Tu właśnie powstały najpierwsze znane nam jego poezye, w których się odbił stan jego duszy. Prawdopodobnie miał tutaj towarzystwo, gdyż w pierwszym swym drukowanym wierszu: „Podróżni“ mówi o „rzeszach sennych i cierpiących“, z któremi razem ciągnął przez włoskie wille, by „trochę niebios zaczerpnąć i morza“, szukając w gajach oliwnych noclegu. W usposobieniu był smutnym i przygnębionym, czuł się rozbitkiem, grubą odzianym żałobą, który nie wie, gdzie mu zatrzymać się przyjdzie, w jakim zakącie świata znajdzie schronienie. Ból swój atoli wyraża łagodnie, zwracając się myślą „w mgły przeszłości“, wzdycha i zrywa gałązki cyprysów i „róże cmentarne“, jako symbole cierpienia. Na teraz wpatrywanie się w błękit niebios i w błękit morza nasuwa mu myśl, że tonie w „nieskończoność“, ale nie znaczy to jeszcze pragnienia śmierci, tylko pragnienie spokoju.

Uczucie smutku i żalu wzmaga się nieco w wierszu następnym p. t. „W zatoce Baja“. I tu przemawia poeta w liczbie mnogiej, i tu widocznie ma na myśli owe „rzesze senne i cierpiące“, o których dopiero co słyszeliśmy. Znajduje się poeta wraz ze swem otoczeniem na morzu w miejscowości głośnej w dziejach rzymskich, nazwanej tu „starym cmentarzem“, dla którego odpowiedniemi gośćmi są ci podróżni „z własnego pogrzebu“ wracający, „odźwierni grobowców, nad któremi już przeszłość zapadła“, Niobidzi, przerażający „kamiennej boleści wymową“. Wywoławszy cienie kapłanów Serapisa, Sybilli kumejskiej, Dyany Hekaty, zgodnie ze wspomnieniami, jakie miejscowość wywołała, i wypowiedziawszy boleść swoją i towarzyszy, prosi w końcu Hekaty (księżyca), by ostatniemi promieniami poświeciła im „na drogę podziemną“, dokąd się udają z nadzieją ujrzenia po tamtej stronie Acheronu (rzeki piekielnej) błądzących cieni spółbraci. I tutaj niewątpliwie nie ma na myśli poeta połączenia się z temi cieniami, przez zgon, a jeśli pragnie przebyć Acheron, to w sposób idealny tylko, by się swobodnie, bez namiętności ziemskich rozpatrzyć w losach owych cieni. Myśl ta powróci jeszcze później poecie i stanie się zasadniczym motywem większego poematu.

Z kolei pojawiła się w druku „Odpowiedź“, napisana w Neapolu w październiku 1864 roku. Do kogo jest wystosowana? Jakie objawy życia rzeczywistego dały jej początek? Czy była ona wynikiem dyskusyi, prowadzonych przez poetę z towarzyszami podróży, czy też odnosiła się do jakiegoś faktu znanego ogółowi? Na te pytania niepodobna obecnie odpowiedzieć dokładnie i stanowczo, gdyż szczegóły życia Asnyka nie są nam znane tak, ażeby mogły zaspokoić badawczą ciekawość, dotyczącą jego twórczości. W samym utworze należy szukać objaśnienia. Jest on wymierzony przeciwko oportunizmowi, w jakiejkolwiek tenże pojawia się postaci, ale nadewszystko przeciwko poetom, którzy potrafią swe pieśni do wszelkich nagiąć okoliczności, którzy umieją: „księżycowe nikłe tęcze, rozwieszone mgły pajęcze na lecinchne tkać przędziwa, chore serca do snu tulić; bladych dziewic wiotkie żale stroić w świeżej krwi korale i Filonów dniowe troski w harmonijne przelać zgłoski, jak w motyli rój skrzydlaty; nogą oprzeć się na grobie i uwielbić ludzkość w sobie i uwielbić się w ludzkości i każdemu co dziś żywy, oddać pokłon sprawiedliwy, a spróchniałe uczcić kości“. Poeta z gryzącą ironią odzywa się o tem ich usposobieniu, którem ziemię mają „rozserdecznić“ i każe „roztkliwionym“ pójść w ich ślady, by „w harmonijnym westchnień szmerze z aniołkami wejść w przymierze i zwiastować przebaczenie“. Temu elizejskiemu ubłogosławieniu, w którem wygodna drzemka dla ducha była zapewniona, w którem mdła i mdląca potrawka z rozdrobnionych na atomy uczuć miała stać się karmią dla serc, przeciwstawia poeta robotę „ciemnej piekieł kuźni“, która, wtórząc znanemu z biblii głosowi Ezechiela, powołującego kości spróchniałe do życia nowego, a „urągając niebiosom“, wyrywa umarłych z grobów, każe im wyrzucić z siebie „starą zgniłą krew“, zwalić „gliniane bogi“, podnieść „w niebo wściekłą pięść“, „rozpalać gniewu burze“, nie zaś „dziękczynne hymny głosić“, „oszczekać sąd“ nad zgasłymi i nie dać duchom spokoju.

Za którym-że z tych dwu nastrojów jest sam poeta? Pomimo kilku wyrażeń, których używamy zazwyczaj dla napiętnowania ujemnych lub niemiłych nam objawów, pomimo rodowodu całej wyprawy „z ciemnej piekieł kuźni“, chyba trudno się pomylić w oznaczeniu stanowiska, jakie zajął Asnyk wobec tych dwu wprost sobie przeciwnych poglądów. Co prawda, nie możemy sposobu, w jaki został wyrażony ten drugi, nazwać jasnym i pociągającym; nie wiemy mianowicie, po co ta „zgraja krwią zbryzgana“, nie czcząca żadnej świętości, ma „w niebo wściekłą pięść podnosić, i nad jakiemi kośćmi z grobu wywleczonemi ma „sąd oszczekać“; — ale to nie ulega wątpliwości, że Asnyk nie chciał się liczyć do błyszczącej plejady wieszczów, co mieli ziemię „rozserdecznić“. Widoczną też jest rzeczą, że się nie zapisywał do grona „wierzących“ w zwykłem religijnem słowa tego znaczeniu, że z „niebem“, zwłaszcza takiem, jakie owi wieszczowie elizejscy malowali, zostawał w rozsterce i wściekłą pięść ku niebu podnosił.

Dlaczego? Nie na podstawie jakichkolwiek filozoficznych, ściśle intelektualnych wywodów, lecz na tej samej podstawie etyczno-społecznej, ktora Konradowi do podjęcia walki z Bogiem posłużyła. Widzimy to wyraźnie z pięknych

---

ot usilnie i po długiem mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach zdaleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamknięty między sprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bólu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdem poruszeniu zaczepiała się o drzewo i krajała skórę.

Ujrzawszy wrony, powolnemi kroki, z nogi na nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. Zdawał się wołać na ludzi osiadłych na plemię ludzkie.

— O ludzie nikczemni, o, rodzie występny, o, plemię morderców!...

Krzyk ten rozległ się nad pustą okolicą i ginął w szalonym głosie wiatru, tylko na chwilę wstrzymując postęp trupojadów. Wrony z wielką rozwagą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacyą zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczegół nie jedna zdradzała największy zasób energii, żądzy odznaczenia się, czy nienawiści. Było to może zresztą, poprostu namiętne odczuwanie interesów własnego dzioba i żołądka, czyli, jak przywykliśmy mówić, o d w a g i, (co „było dawniej paradoksem, ale w nowszych czasach okazało się pewnikiem“...) Przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi jak drwal, zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro, inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszcze. Najbardziej jednak ze wszystkich odznaczyła się ta — (należy jej się tytuł wrony „tej miary“), co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na głowę Winrycha, przemaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie do głowy i poczęła dobijać się zapamiętale do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstańca.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osięgnąć t. z. tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestyi. Nie był to wcale poetyczny szakal, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy, — szedł tedy zabrać je ztamtąd.

Bał się srodze Moskali, to też prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza poucinania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracyi żołnierskiej, żelastwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać, — potem ukląkł na ziemię, zdjął kaszkiet, przeżegnał się i zmówi głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie *amen* już z błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przedewszystkiem do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zdjął mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinął temi łachmanami część broni i szybko się oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzągł konia-kalekę. Obejrzawszy jak najstaranniej jego przetrąconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsutą zupełnie. Trzeba było szkapę na nic nie zdatną udusić. Założył jej też nie zwlekając linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwaliła go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej piszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzał i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucyi. Zaprzągł konie do wozu i odjechał. Po południu zjawił się z kozikiem i zdjął skórę z konia, zastrzelonego przez ułanów. Została tylko do usunięcia skóra na kaniu jeszcze żywym. Chłopowina medytowo-

wierszy p. t. „Julian Apostata“ i „Asceta“ (napisanych w grudniu 1864 r.).

Przedstawiwszy marzenia Juliana o przywróceniu ku czci bożyszczy greckich „tchnących wdziękami młodości“, o odtworzeniu „promiennej przeszłości“, marzenia, udaremnione strzałą perską, co go życia pozbawiła, dodaje do słów jego ostatnich: „Galilejczyku! zwyciężyłeś!“ dopełnienie, w którem zwycięstwo to krzyża ważnem jedynie chwilowo mianuje, pytając:

Czy w imię tego czarnego krzyża
Świat się nie spławi krwi strugą
I wiara, co dziś niebo przybliża,
Ciemności nie będzie sługą? —

i wieszcząc, że kiedyś —

O! przyjdzie chwila, w której o tobie
Gromady zwątpią cierpiące,
Gdy ujrzą na swych nadziei grobie
Jak ja dziś, niebo milczące...

Piotr Chmielowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiązanki literackie.

(*Pisma Henryka Sienkiewicza. Tom XX.*)

(Dokończenie.)

„*Organista z Ponikły*“, to „urodzony talent muzyczny, a zarazem cygańsko-poetycka natura“. P. Kleń po długich wędrówkach z obojem dostaje nareszcie miejsce organisty. Było to dla Klenia wielkiem szczęściem, gdyż kochał on Olkę, córkę strycharza z Zagrabia i był przez nią kochany, ale strycharz ani chciał słyszeć o wędrownym muzyku, teraz zaś zmiękł odrazu.

— Nie mówię: że koniecznie ma zaraz co być, ale organista to nie powsinoga.

I zaprosiwszy go do izby uczęstował arakiem i uczcił jak gościa. A gdy młodzi zostali na chwilę sami, to mu Olka powiedziała:

— Mnie to na jedno, ja bym za panem Antonim i bez tego choć za morza poszła, ale dla tatka tak lepiej.

Wraca Kleń zimowym wieczorem pełen szczęścia w sercu i z kilku kieliszkami araku w żołądku i przygrywa na oboju te piosnki, co z Olką śpiewał, a mróz go przejmuje i znużenie, więc usiadł pod krzakiem i zamarzł grając „Mój zielony dzban...“ i marząc o Olce.

Nie trudno dostrzedz jedności motywu w tych trzech utworach. Jest nim wyznanie, że szczęścia nie ma w rzeczywistości, że bawi ono w owym „Królestwie Cieniów“, które odsłania nam wiersz Szyllera znany pod późniejszą nazwą „Ideał i życie“:

Chcecież bogom zrównać się na ziemi,
I w królestwie śmierci być wolnemi?
Nie zrywajcie tu owoców życia.
Niech złudzeniem poją wasze oczy,
Bo odbiegnie pragnień sen uroczy,
Gdy go spłoszy krótki dar użycia...!

Tylko wyznanie to u Sienkiewicza nie jest wypowiedziane z właściwą Szyllerowi w tym okresie twórczości męzką rezygnacyą; w każdej z opowieści naszego pisarza daje się słyszeć zgrzyt oburzenia lub smutna skarga, że tak jest. A gdy wieszcz z epoki oświaty śmiałą dłonią wskazuje drogę ku wyzwoleniu z pod przymusu rzeczywistości:

Tylko ciało w mocy władz spoczywa,
Co splatają tajne przeznaczenia,
Lecz nie znając ciasnych ziemskich progów,
Wolna z wszelkich więzów otoczenia
Wśród świetlanych oceanów pływa
Postać czysta — boska pośród bogów.

Na jej skrzydłach w niebo się unoście,
I porzućcie drzeń śmiertelnych szał;
Odbiegając smutne ziemskie włoście,
Kraj ideałów bierzcie w dział!...

Syn drugiej połowy dziewiętnastego wieku wygłasza niemęzkie żale z powodu utraty naiwnej wiary i zamiast w zlaniu się z ogółem, w pracy dla przyszłych pokoleń, w ich dziękczynnem wspomnieniu, jak przepisuje „Religia Ludzkości“ Comte'a znaleźć względną „podmiotową“ nieśmiertelność, chce koniecznie rzeczowej, że tak powiem, materyalnej nieśmiertelności w duchu dawnych wierzeń.

Ten temat poruszony jest w cudownem pod względem stylu, kolorytu i spokoju prawie klasycznego opowiadania — „*Pójdźmy za nim*“. Uderzają w nim jednak dwie rzeczy, które w ogromnym stopniu osłabiają ideowo-etyczną wartość tej perły zbiorku. Jedną jest pewna nieproporcyonalność pomiędzy kolosalnością przedmiotu, a pobieżną i lekką formą noweli; drugą — jednostronność ujęcia przedmiotu tembardziej rażąca, że strona ujęta, nie jest właśnie główną, najbardziej wybitną stroną. A ten ostatni błąd jest w całości wynikiem braku owego wyzwolenia się z egoizmu osobowego, z pod panowania swojego „ja“, które to wyzwolenie, jak zaznaczyliśmy, stanowi cechę klasycznej przedmiotowości.

Cinna jest patrycyuszem rzymskim, który doświadczył wszystkiego, co mógł dać świat ówczesny: i sławy wojennej, i oklasków ludu, i życia zbytkownego; przebiegł on po dyletancku, słuchając między dwoma puharami wina mędrców i retorów, wszystkie krążące filozofie, aby przekonać się, że wszystkie są w gruzach, i wszystkie rozkosze swobodnego życia, ale po tem wszystkiem czuł pustkę w sercu, czuł jakiś dziwny niepokój ustawicznie wzrastający. Przeniesiony do Aleksandryi dla poprawienia majątku, poznaje tam mędrca Tymona, któremu zwierza się ze swego niepokoju.

Widziałeś Cynno, odpowiada mędrzec, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz czego one szukają w Egipcie?

— Wiem, ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które jest prawdą. I on, Tymon, szukał i nie znalazł, więc czeka, nie wiedząc skąd.

Tymczasem Cynna poznał cudnie piękną i mądrę córkę Tymona Anteę i zaślubił ją. Ale w rok po ślubie, Antea zapadła na ciężką chorobę: ukazywało jej się wśród blasku dnia straszne widmo (Hekata czyli śmierć). I nikt nie mógł nic poradzić na to. Ktoś doradza nareszcie wędrówkę do Jerozolimy. Tu staje Cynna z żoną u przyjaciela swego Piłata i dowiaduje się od niego o Nazarejczyku, który uczy o nieśmiertelności. Nauka ta robi dziwne wrażenie na Antei: „nie spodziewając się niczego od śmierci, usłyszała nagle, że może jej dać wszystko“. Gdy zaś ujrzała śmierć Chrystusa, uwierzyła, że On jest Prawdą. I tego dnia nie ukazała się Hekate, ale na drugi dzień w godzinie południowej, w chwili, gdy Cinna przewiduje ze strachem ukazanie się widma, Antea z niezmierną radością wita świątły obraz Nazarejczyka:

— Słup światła zbliża się ku mnie..... Widzę! To On, to Nazareńczyk!... Uśmiecha się... O Słodki, o miłujący!... Ręce przebite wyciąga jak matka ku mnie. Cinno! on niesie mi zdrowie zbawienie i wzywa mnie do siebie!

Pełno jest piękności w tem niewielkiem opowiadaniu. Doskonale odzwierciadlony jest stan umysłów owczesnych w Cinnie dyletancie i Tymonie filozofie, ów smutek i niepokój, które zostają po rozbiciu wszystkich wierzeń. Przerażające jest owo widmo pogańskiej śmierci, ukazujące się w samo południe, nie odstraszone ani blaskiem słońca, ani gwarem życia, a które spłasza cicha nauka miłości. Doskonale p o

---

roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechlaka zarznąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się „paprać“ moralnie i fizycznie. Z drugiej strony — bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie zakradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupułem, rzekł do leżącej:

— Ej — a dychaj se tu... I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się! Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobre i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj...

Na uboczu względnie do tego kierunku w jakim zdążał Winrych były w równym polu doły kartoflane. Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono się w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berberysu zagaiły ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia, obdartego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknemi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznem miłosierdziu swojem zesłał mu tyle żelastwa i rzemienia...

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i, nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzał pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Miotał łbem wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzepały się nad żywym trupem, wzlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Z za świata szła noc, rozpacz i śmierć.

KAMIL FLAMMARION.

MARZENIE NA GWIAŹDZIE.*)

(Tłum **H. L.**)

Śniłem — a jednak snem to nie było. Zdawało mi się, iż mniej więcej przed stu milionami lat byłem badaczem świata i zamieszkiwałem planetę, należącą do orszaku jednej z dalekich gwiazd przestworza wśród świata gwiazd; świat ten był podobny do obecnie istniejącego, a jednak nie był to ten sam świat, gdyż świat ówczesny jest dziś zburzony, a dzisiejszy nie istniał jeszcze.

---

* Powyższa rozprawa znakomitego pisarza ukazała się po raz pierwszy w zeszycie wrześniowym czasopisma: „Les annales politiques et litteraires. (Przyp. Red.)

chwycony ów nastrój narodu uciemiężonego, jęczącego pod obcym zaborem i czującego, że nienawiść jest dlań podstawą samozachowania, że owa miłość kosmopolityczna, dla wszystkich ludzi, którą głosił Chrystus, jakkolwiek wielka, jako idea wszechludzka, jest antinarodową, bo dąży do zatarcia granic między zaborcami a zwyciężonymi, jest przeciwną aspiracyom ku wolności — gdyż każe kochać nieprzyjaciół i znosić cierpliwie niedolę. — „Duszą tego ludu nienawiść, któż zaś jeśli nie nienawiść ma wołać o krzyż dla miłości.“ — Świetną jest figura Piłata, to wcielenie mierności i płytkości ze swoją mądrą polityką.

— „Jedna jest rzecz, której nie znoszę, to przesada! „Złoty środek — oto, czego według mnie roztropność nakazuje się trzymać!“ Świat musi stać na rozsądku. Któż przeczy, że cnota jest potrzebną?... Pewnie nie ja. Ale nawet stoicy uczą tylko, by przeciwności znosić z pogodą, nie wymagają zaś by się wyrzec wszystkiego, począwszy od majątku aż do obiadu. „Powiedz Cynno — ty jesteś rozsądny człowiek — co byś o mnie pomyślał, gdybym ten dom, w którym mieszkacie, oddał ni z tego ni z owego, tym oto obdartusom, którzy tam wygrzewają się na słońcu przy Jopejskiej bramie?“

Cudowne jest opisanie pochodu ku Golgocie i śmierć na krzyżu chociaż razi nieco, że ten wypadek kolosalny wkracza jako epizod uboczny do historyi o chorobie Antei, ale właśnie takie przedstawienie rzeczy ze stanowiska współczesnego rzymianina, który widzi w tem tylko jeden ze zwykłych i mało znaczących objawów fanatyzmu („Nie lubię przesady, mówi Piłat, ale gdy się raz czegoś podejmę nie zawaham się poświęcić dla ogólnego dobra życia jednego człowieka, zwłaszcza, jeśli to jest człowiek nieznany, o którego nikt się nie upomni), który nie rozumie jego doniosłości dziejowej, może najlepiej przyczynia się do podniesienia wrażenia tego opowiadania. Doskonale charakteryzuje stanowisko na wpół obojętnego, a zajętego przedewszystkiem własną troską widza, taki epizod wstawiony jakby od niechcenia. Jakiś człowiek podczas ukrzyżowania zaczyna wołać, że był uzdrowiony przez Chrystusa. „On go uzdrowił, słyszysz Kaju? woła Antea — A Cinnę ogarnia jak wicher dzika i bezbrzeżna rozpacz, że nie wezwał Nazarejczyka do swego domu, by uzdrowił Anteę“.

Takie są liczne zalety tego utworu, że prawie nie chce się mówić, czego mu brak. A brak jak już zaznaczyłem ujęcia wszechstronniejszego przedmiotu. Nie można wprawdzie robić zarzutu poecie, że chciał pochwycić tę tylko jednę i mało stosunkowo znaczącą stronę nauki Chrystusa, — że chciał pokazać jakie wrażenie na wytrawionych sceptycyzmem umysłach greko-rzymskich sprawi nauka o życiu zagrobowym — mówię, że mało znaczącą, bo chociaż, jak mówi Piłat, w Hadesie Chrystusa jest jaśniej niż w podsłonecznym świecie, ale przecież i starożytni mieli swój Hades, i wierzyli również w nieśmiertelność. Ale to jest właśnie charakterystycznem, że nie wielka i płodna w następstwa strona społeczna nauki Chrystusa natchnęła jego pióro; że nie Chrystus, jako reformator społeczny, jako głoszący równość wszystkich ludzi wobec Boga, a z nauki jego nie pogarda dla bogactwa a podniesienie ubóstwa do godności cnoty, nie słowo wyzwolenia dla niewolników i braterstwa dla ludów zwróciły na siebie jego uwagę, lecz ta egoistyczna i drobna myśl o nieśmiertelności grobowej i o wygnaniu strachu pogańskiej śmierci.

X. Z.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Rząd narodowy widząc, że bez owych prywatnych komitetów nie może liczyć na pomoc z Galicyi, zaczął je tolerować, znosić się z niemi, a nawet paktować. Toczyły się tylko spory o stopień i zakres władzy komitetów. Ustanowiono przy nich komisarzy Rządu Narodowego, istniejących poprzednio przy *Lowach*, które się rozwiązały. Pierwszym komisarzem przy komitecie krakowskim był Seweryn Elżanowski, przy lwowskim pełnił w początkach, prócz innych, tę funkcyą Maryan Sokołowski.

Temu ostatniemu poświęca p. Koźmian ustęp obszerniejszy. Przybył do Galicyi z instrukcyami do utworzenia po za Królestwem *Rządu Narodowego*. Zastał już jednak dyktaturę Langiewicza. Pojechał więc do niego i przedstawił mu stan rzeczy i swoją misyą. Langiewicz odpowiedział na jego wywody: „pan mówisz jak adwokat, a ja jestem żołnierzem“. P. Koźmian mówi, że Langiewicz „znalazł się tym razem jak prawdziwy dyktator, podobno ten raz jeden“. Czy raz jeden, nie wiemy, ale to pewna, że kiedy p. Koźmian jeździł ze swoją misyą do niego, powinien się był tak samo znaleść.

Sokołowski będąc we Lwowie dowiedział się, iż „*Gazeta Narodowa*“ drukuje hramotę socyalistyczną. Skonfiskował ją i kazał spalić. Wydał przytem instrukcye dla komisarzy oddziałów gotujących się do wyruszenia na Wołyń i Podole, w których zakazał wszelkich gwałtów i zmuszania ludzi siłą do brania udziału w powstaniu. Oskarżony o spalenie *hramot* Rządu Narodowego i „o uwolnienie szlachty od podatku krwi“, otrzymał dymisyą, został oddany pod sąd wojenny i skazany na śmierć. Nadzwyczajny komisarz wysłany dla wykonania wyroku, lecz i dla zbadania jeszcze przedtem sprawy, złożył sąd, który przekonał się o braku winy ze strony Sokołowskiego i prosił go o pozostanie na stanowisku. Wobec odmownej z jego strony odpowiedzi, mianowano Chamca komisarzem dla ziem ruskich.

Spory o atrybucye komitetów i o ich stosunek do Rządu Narodowego nie ustawały. Rzucają one bardzo ciekawe światło na chęć stworzenia rządu w rządzie. W końcu ułożyły się jakoś stosunki — pełnomocnik Rządu Narodowego Józef Grabowski rozwiązał komitet krakowski i ustanowił Radę prowincyonalną, której wręczył regulamin. Baum, Beuse, Haller, Rogawski, Zuliński i Elżanowski nie wnieśli przeciw temu regulaminowi żadnego zarzutu, również jak przybyły później Jan Tarnowski z Chorzelowa. Komisarz Rządu Narodowego na podstawie „narzuconego“ regulaminu począł wydawać rozkazy. P. Koźmian przytacza różne instrukcye, regulaminy i cyrkularze Rządu Narodowego. Cyrkularz z 18go Lipca zasługuje, aby podać z niego parę ustępów:

„Z pomiędzy wszystkich prowincyi do pomocniczego działania w obecnem powstaniu powołanych, Galicya jedna *najmniej pieniężnego zasiłku do skarbu narodowego wniosła*. Z małym bardzo wyjątkiem *wszystkich oddziały* stąd wyprawione, *a po większej części zmarnowane, kosztem skarbu ogólnego sztyftowane były* z niemałem dla innych prowincyi uszczerbkiem . . .

. . . . „Galicya w porównaniu stopy podatkowej jaką ponosi, do takiejże stopy w Kongresówce, na Litwie i Rusi, zapominać nie powinna, że tamte prowincye, oprócz podatków rządowi narodowemu płaconych, ponosić nietylko muszą bezpośredni ciężar wojny, ale oraz rabunki i peryodyczne zniszczenia, przez dzicz moskiewską szerzone, tak, że gdyby mieszkaniec Galicyi oddał na narodową sprawę nietylko cały swój dochód, ale i cały zapas gotówki, to jeszczeby mniej został poszkodowany, aniżeli każdy z jego współziomków w tamtych stronach. *Mniej gorące patryotyczne usposobienie w Galicyi, aniżeli w innych stronach Polski nietylko przez skąpstwo w ofiarach pieniężnych na oltarz przynoszonych się tłomaczy.* Jak z pieniędzy tak i *z miłości własnej zarówno osobistej*

Jak w naszej epoce były i tam gwiazdy i konstelacye — ale inne. Były słońca, księżyce, ziemie zamieszkałe, dni, noce, pory roku, lata, stulecia, stworzenia, wrażenia, myśli, czyny — odmienne jednak od dzisiejszych.

Ziemia, którą zamieszkujemy nie była jeszcze utworzoną. Materyały, z których się składa, pływały w przestworzu jako rozwlekłe mgławice, ciążące na ognisku słonecznem, stopniowo się zgęszczającem. Wówczas nie było jeszcze wody, powietrza, ziemi, kamieni, roślin, zwierząt, ani żadnego z materyałów, które chemia bez długich badań za zwyczajne uznała jak: kwasoród, wodoród, azot, węgiel, ołów itd. Gaz, który przez zgęszczenie i późniejsze przeobrażenia miał rodzić rozmaite nowe substancye — płynne lub stałe, z których obecnie składa się ziemia nasza, był zwykłym jednorodnym gazem, piastującym w swem łonie drobną poczwarkę; zawierała ona warunki przyszłego bytu, nie przeniknionego przez żadnego z proroków.

Planeta nasza przedstawiała się wówczas jak owe mgławice gazu, które teleskop odkrywa na dnie niebios, a spectroskop rozbiera. Pośród gwiazd płynęła słoneczna mgławica w stanie zgęszczenia.

Tam, gdzie miała być ziemia nasza, był jedynie gaz, unoszący się w gwiaździstym ogromie. A nawet nie był on w zupełnie tem samem miejscu, gdzie się obecnie znajdujemy, ponieważ ziemia, planety i system słoneczny przychodzą z daleka i prędko się posuwają. W historyi stworzenia sto milonów łat przemija jak dzień jeden; lata się zacierają, nikną, zdają się snem znikomym w łonie wszystko pochłaniającej wieczności. Wówczas więc, choć planeta nasza nie istniała jeszcze, istniały jak po dziś dzień gwiazdy, słońca, systemy słoneczne i światy zamieszkałe. Ludność, zamieszkująca owe światy wiodła życie podobne naszemu.

Zastanowienie się nad wielką pracą tych wszystkich stworzeń było dla myśliciela rzeczą nader zajmującą. Owcześni ludziezarówno w szczęściu jak w niedoli — działali, odpoczywali, kochali, nienawidzili, porwani fatalnym zamętem. Pokolenie po pokoleniu ślepo po sobie następowało, nie znając potęgi, która je zrodziła, ani też losu dusz i stworzeń. Jako zabawki natury, która zdmuchuje światy i stworzenia, gwiazdy i atomy, wieki i minuty, jak bańki mydlane, z któremi dziecko igra w powietrzu — dążyli do śmierci na kształt pyłków, które wiatr unosi w orkanach lub trąbach powietrznych. Podobny obraz odtwarza się codzień oczom naszym, codzień patrzymy na tłumy, walczące za życia, a odpoczywające dopiero u progu wieczności.

Najwięcej zadziwia nas w owem retrospectywnem rozmyślaniu to, że ziemia nasza wówczas nie istniała. Żadna z obecnie żyjących istot nie była nawet bliską urodzenia. Jednakże ludy, ożywiające owe starożytne, dawno już nie istniejące światy, miały swoją i obecną historyą, miały kwitnące miasta, uprawne role, społeczne organizacye, wojny i bitwy, prawa i trybunały, nauki i sztuki piękne, a sędziowie rozumu, historycy i literaci, starali się odróżnić prawdę od fałszu. W ich pojęciu tworzenie sięgało tylko ich czasów i przestrzeni, żyli jako uczeni lub prostacy, — żyli jakby ich era nigdy się skończyć nie miała. Ludy te miały, tak jak i my swoje dni chwały i sromu, miały swój rok 89 i 93 — Austerlitz i Watarloo. Wówczas błyszczało jeszcze na ziemi naszej życie Babilonów, Niniw, Kartagin, błyszczała chwała Semiramid, Aleksandrów, Cezarów, dziś cisza i samotność spoczywa na gruzach pałaców i świątyń w uśpieniu otaczającej ich nocy. Wśród historyi niezmienionego świata znikły nietylko ludy, państwa, cesarstwa, lecz całe światy, gromady światów, planet i wszechświatów.

Siły natury bowiem nie spoczywają nigdy. Dla samej natury czas i pojęcia o czasie wcale nie istniały — dla niej nie ma przeszłości ani przyszłości — istnieje tylko nieustanna teraźniejszość. Spoczywa ona nieruchomo wśród objawień i nieustannych przeobrażeń — my przemijamy, ona trwa!

Nie można myśleć bez trwogi o niezmiernej ilości istot, które żyły na tych wszystkich,

jak kollegialnej mniej chętnie w Galicyi, niż gdzieindziej czyniono dotąd ofiary, nigdzie może władze przez Rząd narodowy ustanowione, tak chłodnego i mniej chętnego poparcia nie znalazły jak w Galicyi, a przecież Rząd ten to pierwsza narodowa władza, którą nam Opatrzność od lat blizko stu otoczyć pozwoliła; na przyjęcie jej zgromadzić się było powinno wszystko, co tylko najzacniejszego wydać prawdziwy patryotyzm może. *Nigdzie może jak w Galicyi nie spotykamy tylu swarliwych stronnictw, rzucających się w ciasnem kole mizernych ambicyjek*, nigdzie tyle powodów zgorszenia w wybrykach zarówno wyrażających się w czynie, jak w druku i żywem słowie. Wszystkich tych smutnych wypadków nie możemy przypisać niższości patryotyzmu ożywiającego mieszkańców Galicyi, ale raczej przypisać je winniśmy *brakowi zupełnemu narodowej w niej organizacyi*". Tak się skarżył Rząd narodowy na komitety przez p. K. chwalone.

We Lwowie pełnomocnikowi Rządu Narodowego nie udało się przeprowadzić przyjęcia regulaminu. Wówczas wymienieni powyżej członkowie Rady prowincyonalnej prócz Żulińskiego i Elżanowskiego zażądali zmiany regulaminu. W tym czasie pełnomocnik Rządu Grabowski wraz z Benoem udali się do Wiednia dla porozumienia się z mieszkającemi tam majętnymi obywatelami Galicyi w sprawie projektu narodowej, przymusowej pożyczki. Tam uchwalili ciż obywatele nowy regulamin, znoszący władzę komisarza rządowego, a przyznający zupełną autonomią prowincyonalną. Zwyciężył więc b. komitet krakowski, zwyciężyło mówi p. Koźmian „zdrowe zapatrywanie". Czy zdrowe, czy chore, w to wchodzić nie będziemy, ale podkreślamy, że ci co Rząd Narodowy uznali, nie chcieli go słuchać i ciągle z nim wiedli spory. A czynili to ludzie, którzy wiecznie i zawsze mówią o poszanowaniu dla władzy, ludzie nawskroś Koźmianowscy. Wszelki opór władzy obcej ganią — Rząd Narodowy był władzą swoją (złą czy dobrą znowu w to nie wchodzimy) ale był władzą uznaną i oto jak w praktyce ci teoretycy posłuszeństwa dla władzy to posłuszeństwo pojmowali, kiedy im było niedogodne! Mamy w tem próbkę jak ci, co się mienią konserwatystami narzucają innym teorye, a sami dowolnie postępują. Dać im władzę — to władza jest święta, nietykalna — dać władzę innym, to można ją lekceważyć. P. Koźmian zakończenie sprawy regulaminu nazywa zwycięstwem zdrowego zapatrywania, a była to tylko presya, przed którą Rząd Narodowy ustąpił, obawiając się o los narodowej pożyczki.*)

*) „Przyobiecane miliony za koncessye nie wpływały do kasy." Materyały tom III. str. XVIII.

Kiedy rząd austryacki aresztował członków komitetu (za co? wszak to nie był „spisek"?) wówczas dopiero weszli do niego członkowie *grona krakowskiego*. St. Tarnowski zastąpił Bauma, Ludwik Wodzicki Benoego, Stanisław Brandys Wallera; prócz nich dopełnili składu komitetu: Aleksander Gorajski i Józef Jędrzejewicz. P. Koźmianowi powierzył Rząd Narodowy dyrekcyą biura krakowskiego i mianował go ajentem dyplomatycznym z siedzibą w Krakowie. Zdaje się, iż p. Koźmianowi nie całkiem dopisuje pamięć, — co innego bowiem czytamy w „Materyałach do historyi powstania 1863 r." W tomie III-cim tej publikacyi znajduje się pismo Rządu Narodowego do komisarza w Krakowie, wysłane pod datą 1go lipca. Przesyłając instrukcye dla utworzenia biura korespondencyjnego i telegraficznego Rząd Narodowy zawiadamia, iż „Urządzenie pomienionego biura powierzył ob. Brzeskiemu, który wspólnie z ob. Koźmianem pod zwierzchnim kierunkiem komisarza rządowego zająć się ma bezzwłocznie doprowadzeniem do skutku danego mu polecenia." Chyba więc wskutek zwycięstwa autonomistów oddano biuro pod wyłączną opiekę p. Koźmiana, ale przypuszczenie to ma bardzo wątłe podstawy, biuro bowiem z natury rzeczy nie mogło stać pod zarządem komitetu krakowskiego, bo nie o Galicyą tutaj chodziło, lecz pod kierunkiem Rządu Narodowego, co sam p. Koźmian zaznacza. Jest więc tutaj coś niejasnego, — a w „Materyałach" nie ma śladu tej powtórnej nominacyi p. Koźmiana i ustąpienia ob. Brzeskiego. Dodać jeszcze należy, że owe *biuro krakowskie* nie było jedynem, takież samo bowiem istniało we Lwowie (instrukcya dla niego znajduje się w III tomie „Materyałów"), takież same istniały i za granicą n. p. w Anglii, jak to widzimy z jego sprawozdania umieszczonego w tomie V „Materyałów".

W obec ciągłych i nieustających poprzednich napomknień p. Koźmiana o *jawnym* Rządzie Narodowym nie od rzeczy będzie zanotować następujące jego przyznania: „dyktatura Langiewicza dowiodła była, że w ówczesnych okolicznościach żaden inny rząd narodowy oprócz tajnego nie był możliwy. Rząd poza krajem był bez znaczenia". Ale dlaczego p. Koźmian wyraża to tak dziwne jak na niego przekonanie? Oto dla usprawiedliwienia się, że on i *grono krakowskie* poddali się Rządowi Narodowemu. „W chwilach rozstrzygających — pisze bardzo słusznie p. Koźmian — nie można się powodować doktryną". Wyznanie znów godne zapamiętania, szkoda tylko, że p. Koźmian wtedy tylko przestaje być doktrynerem, kiedy mu idzie o własne usprawiedliwienie się. Zaledwie bowiem napisał tak rozumne słowa, już powraca do ulubionej śpiewki. W pięć wierszy po potępieniu powoływania się doktryną w chwilach rozstrzygających, takie wygłasza zdanie: „Tajny *Rząd Narodowy* warszawski był ze stanowiska tak prawnego, jak też najprostszych pojęć politycznych fikcyą. Już w nazwie rząd tajny była sprzeczność. Rządu bowiem zadaniem, powołaniem i istotą jest jawne przedstawienie i obrona istniejącego porządku rzeczy. Z chwilą w której spisek odbywa swoje cele, musi do ich dalszego przeprowadzenia powstać jawna władza, zadanie spisku wtedy skończone i niema on racyi bytu; jeżeli zaś odsłonięty zamiar odsłania także środki działania, a zwłaszcza jeżeli odwołuje się do rzeczy najbardziej głośnej i jawnej, to jest do wojny, tem więcej kierunek przedsięwzięcia objąć musi wtedy władza jawna. A przecież i to należy do nadzwyczajności i anomalii ówczesnych wypadków; spisek odsłoniwszy swoje cele i środki, wypowiedziawszy jawnie wojnę Rosyi, nie zaabdykował, nie wydał ze siebie rządu jawnego, pozostał u steru nie przestając być władzą tajną, przybrał tylko nazwę *Rządu Narodowego*, nie zmienił się ani w swej istocie ani w swej formie, i tajno i anonimowo wypowiedział i prowadził jawną z Rosyą wojnę. Miał dość siły, aby pozostać tajnem stowarzyszeniem, nie miał jej na tyle, aby stać się rządem jawnym. Wskutek tego fikcya stawała się rzeczywistością, a rzeczywistość fikcyą i tajny spisek wykonał jawną władzę; fakt zadawał kłam najprostszym pojęciom. *Rząd Narodowy* był tworem chorobliwym, chorobliwych czasów i samobójczego przedsięwzięcia...."

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Panorama tatrzańska.

Byłem w tych dniach w pracowni p. Antoniego Piotrowskiego, znanego zaszczytnie malarza, zamieszkałego w Krakowie. Wykończał właśnie szkice do wielkiej panoramy, mającej przedstawiać Tatry. O projekcie tym pisma podobno już donosiły. Obecnie, gdy projekt przybrał już nieco konkretniejsze kształty, pospieszam podać do wiadomości czytelników „Przeglądu" bardziej dokładne szczegóły.

Już ze szkiców widać, że panorama będzie posiadała niezwykłą wartość i znaczenie poważne. Lubo p. Piotrowskiego ulubionym rodza-

dziś zgasłych światach, o tych wszystkich wyższych umysłach, które myślały, działały i wiodły ludzkość na drodze oświaty; nie można myśleć o tych Platonach, Newtonach unicestwionych światów, nie zastanawiając się nad tem, co się z nimi stało. Już nie istnieją, umarli jak przyśli na świat, wszystko z prochu powstaje i w proch się obraca — oto łatwa, ale mało zadowalniająca odpowiedź.

Oczywiście nie mam śmiesznej pretensyi rozwiązania tej tajemnej kwestyi. Byłoby równie dziecinne jak i bez celu zagłębiać się w tajemnicach metafizyki, aby znaleźć odpowiedź, której prawdopodobnie nigdy nie pochwycimy; ale nie mniej jest to przedmiot godny zagłębiania się w tem szczególnem zjawisku natury, że od wieki wieków ziemie zamieszkałe jak nasza pływały w wszechświetle słońca, że od wieków istniała ludzkość, ciesząca się darami życia, że od wieków wybiła ostatnia godzina świata na zegarze przeznaczeń, pogrążając z kolei stworzenia i wszechświaty w otchłań zapomnienia.

Jeżeli niezmierzona przestrzeń zdumiewa nas ogromem bez granic, wieczność bez początku i końca rośnie przed naszą podnieconą wyobraźnią. Głos wieków odzywa się do nas z otchłani, mówiąc nam o przyszłości.

Przeszłość zgasłych światów — to przyszłość ziemi!

Po stu milionach lat, ziemia, na której się znajdujemy, istnieć przestanie, lub jeżeli zostaną z niej jeszcze gruzy, będzie tylko ponurą pustynią; różne światy naszego systemu słonecznego zakończą swój okres życiowy, historye ludzkości z dawna zagasną, a nawet słońce nasze straci swój blask i jako gwiazda ciemna błądzić będzie wśród bezmiernej nocy. Lub może wtrącon przez prawo przeznaczenia we formy nieustannej przemiany, złączone w nagłem starciu z innem słońcem zamarłem i rzuconem jak ono w wiekuistą próżnią, słońce nasze powstanie jako feniks wspaniały z popiołów, rozniecony ch przeobrażeniem się ruchu w ciepło.

Lecz wtenczas, jak dzisiaj, mgławice zrodzą słońca, bezmierna przestrzeń zaludni się niezliczonemi gwiazdami, ziemie kołysać się będą w blasku swych słońc, ranki i wieczory z kolei następować będą, niebo lazurowe rozciągać się będzie, chmury płynąć będą w pomroku, lasy i doliny oddychać będą wonnem powietrzem — cudowne zmartwychwstanie i odrodzenie. Przyroda jak dziś śpiewać będzie hymn młodości i szczęścia, a wiosna wiecznotrwała rozkwitnie na zawsze w tym bezmiernym wszechświecie, w którym dziejopis przeszłości widzi tylko groby.

Jeśli nic ma granic przestrzeni, jeśli myśl nasza w jakąbądź stronę nieba uleci, błąkać się może zawsze, gdyż nic jej nie zatrzyma; jeśli jednem słowem przestrzeń jest nieskończoną w każdem pojęciu, toż samo dzieje się z wiecznością; nic również nie zdoła zaznaczyć jej granic, i jakibądź koniec w wyobraźni naszej nadamy czasowi, myśl nasza przesadza bezwiednie tę domniemaną przeszkodę i dalej idzie swoją drogą. Nieskończoną przestrzeń zaludniają obecnie światy rodzące się, światy w epoce dojrzałości i światy chylące się ku upadkowi, światy zamarłe, rozproszone w olbrzymiej bezgranicznej przestrzeni, mgławice gazowe, słońca z wodorodu, gwiazdy, planety tworzące się, wyziębłe satelity, komety rozproszone..... siły natury zawsze są czynne, energia tworzenia zostaje taż sama, nie wzmagając się ani też zmniejszając, a wszystkie nauki godzą się na to, że to, co my nazywamy zniszczeniem, unicestwieniem, jest tylko przemianą. Astronomia odsłania nam czas, jak nam odsłoniła przestrzeń, wskazuje nam, że nasza obecna epoka nie jest szczególnością w historyi natury, nie mniej, jak nasza przestrzeń obecna, każe nam uznawać czas jako i przestrzeń, te dwa objawy rzeczywistości, badając na podstawie tejże samej syntezy wielkie zjawiska wśród rozwoju wszechświata.

Podczas, gdy patrzałem na te panoramy czasu i przestrzeni, podczas gdy ubiegłe wieki wolno przesuwały się przed moimi oczyma

jem nie jest wcale pejzaż, to jednak szkice pochlebnie świadczą o jego poczuciu natury i są dowodem traktowania jej *con amore*,

Ale nie może tu chodzić o wartość tych szkiców z artystycznego punktu widzenia. Szkic pozostaje szkicem i przeznaczeniem jego nie wychodzić po za ściany pracowni, jest to bowiem tylko środek pomocniczy, przygotowawczy, jest on pewnego rodzaju skrótem czegoś większego, czegoś, co dopiero będzie *właściwem dziełem*, przeciwko któremu wyłącznie skalpel krytyki skierowanym być może.

Chcę na wstępie powiedzieć słów parę o *treści* szkiców, to jest o tem, jaką miejscowość Tatr przyszła panorama przedstawiać będzie; określenie bowiem przez jedno słówko „Tatry" jeszcze nie wystarcza, ponieważ tak wiele w tym wyrazie się mieści, iż on nikogo objaśnić nie może, *co i jak* widzieć będziemy w panoramie.

Szkice dopiero odpowiadają na to pytanie. Są to cztery płótna, na półtora metra wysokie, a trzy metry długie, zawierające w stokrotnem zmniejszeniu całość panoramy projektowanej.

Punkt, z którego p. Piotrowski robił zdjęcia fotograficzne, znajduje się na „*Miedzianem*" i trzeba przyznać, że wybrany został nader szczęśliwie. Rozumie się, nie na samym wierzchołku Miedzianego, bo wtedy panorama nie miałaby planów bliższych, wszystkie szczegóły znajdowałyby się w znacznej odległości, na czem panorama straciłaby wiele, a co ze względów technicznych byłoby całkiem niemożliwiwe.*) Kto sobie przypomina urwistość szczytu Miedzianego, ten łatwo to zrozumie.

Sam szczyt Miedzianego sterczy właśnie przed nami na pierwszym szkicu. Po za nim na prawo wschodnie Tatry z Muraniem, Hawraniem. Szerokiem Jaworzyńskiem, szczytem Trzystarskim i częścią Lodowego. Na lewo od Miedzianego otwiera się daleka perspektywa na dolinę Nowo-Sądecką ze Szczawnicą i Krynicą, a poniżej na dolinę Białki z Łysą. Dalej na lewo mamy Wołoszyn, Krzyżne, Buczynowe, a poniżej tych wirchów stawy Przedni, Mały i część Wielkiego.

Drugi szkic przedstawia pasmo, złożone z Granatow, Zawratu, Swinnicy i Czerwonych Wirchów, dalej na lewo widzimy zachodnie Tatry z Rohaczami, Bystrą, Kończystą i Osobitą, poniżej nich Koprowe i łańcuch graniczny pośrednich wirchów aż ku węgierskiemu krzyżnemu, jeszcze niżej, olbrzymia dolina pięciu stawów polskich ze stawami pod Swinnicą i częścia Wielkiego.

*) Wszelkie próby wywołania pożądanego złudzenia przy malowaniu głębi powietrznej, w kierunku zbliżonym do pionu, nie udawały się nigdy. Coś podobnego dzieje się przy zdjęciach spadzistości za pomocą fotografu: najbardziej stroma wyda się bardzo łagodną.

Na trzecim szkicu ciągnie się zachodnia część grzbietu Miedzianego, wyżej pośredni, jeszcze wyżej Turnie, odgraniczające dolinę Piardzystą od Glińskiej. Po za nimi Hruby,, a na lewo od niego Szczyrbskie Szczyty. Ponad Hrubym widać jednostajnie fioletowy czub Krywania, spowity we mgłę. Na prawej stronie szkicu rozległy widok na dolinę Wagi (Waag), Karpaty węgierskie i śląskie, aż po sam Bogumin (Oderberg) z resztą Węgierskiego Krzyżnego.

Nakoniec czwarty szkic zawiera: Cubryn, Mięguszowiecki szczyt i sławną Przełęcz, którą zatytułował Witkiewicz śliczny swój opis przyrody tatrzańskiej, dalej węgierskie Granaty, Wysoką, Rysy, Gerlach, Sławkowski i inne wielkie szczyty aż do Lodowego (patrz A 1). Poniżej nich Młynarz, Ganek, Zabie, pod Rysami Morskie Oko, a pod Zabiem Rybie jezioro.

Całość więc, dzięki trafnemu wyborowi punktu, stanowi jakgdyby kwintesencyą wszystkich czarów i powabów tatrzańskich, a posiada w wysokim stopniu tę zaletę, że nie nuży wzroku monotoniją, zawiera bowiem w sobie tyle całkiem od siebie różnych motywów, jak rzadko która miejscowość w Tatrach.

Trzeba przyznać, że pomysł panoramy tatrzańskiej, w ten sposób ujęty, jest świetny. Dziwna rzecz, że ten pomysł tak prosty w sobie, tak niewyszukany, który sam się napraszał, aby go ucieleśnić, aby go zużytkować w panoramie, dopiero dzisiaj znajduje wykonawcę, że przez tyle lat, jak Tatry są zwiedzane, ta nadzwyczaj łatwa koncepcya dopiero u p. Piotrowskiego rodzi się i przyobleka w konkretne formy. A czyż może być bardziej właściwy temat do panoramy, jak nie góry właśnie, zwłaszcza kompleks tatrzański, tak piękny, tak oryginalny, tak odmienny od innych!

Czego właściwie żądamy od panoram? — Czyż nie wywołania w widzu możliwie zupełnego złudzenia, iż patrzy na rzeczywistość? — Tak jest. Łudząca imitacya rzeczywistości, to — cel panoramy. W tem właśnie leży różnica między malowaniem *pejzażów*, a malowaniem *panoramy*. Pejzaż nie jest obowiązany wyrzekać się subjektywnego traktowania dzieła, ma prawo malować tak, jak chce, jak mu się zdaje, tak odtwarzać naturę, jak *jemu* się ona przedstawia, stąd właśnie wypływa uprawnienie wszelkich impresyonizmów, symbolizmów i t. p. objawów subjektywizmu w dziedzinie malarstwa. Wykonawca panoramy jest w innych warunkach: on musi starać się o to, aby dzieło jego odźwierciadłało naturę w tych kształtach i barwach, z takim aparatem światłocieniowym, w jakich ona jest znaną *tłumowi*; musi pozostawić w tym wypadku swoje ja na stronie, a przedewszystkiem musi nadać swemu dziełu takie własności i przymioty, któreby owo złudzenie rzeczywistości potęgowały jaknajbardziej. I dla tego też w panoramie dozwolone są wszelkie dążące do tego celu sposoby, które w malarstwie zwykłem noszą nazwę *s z t u c z e k*.

Panorama tatrzańska na szczęście tych ostatnich potrzebować nie będzie, a przynajmniej znacznie mniej, niż wszelkie inne panoramy, zwłaszcza batalistyczne. Już sam przedmiot bitwy do panoramy nie nadaje się zgoła. Pobojowisko — to i owszem. Co wszelką bitwę najbardziej charakteryzuje? Ruch i hałas. O tworzeniu hałasu, właściwego bitwom, w panoramie mowy nie ma, co zaś do wyobrażenia ruchu, to mimo wszelkiego usiłowania, warunek ten trudno wypełnić. Wytrawni panoramiści starają się przynajmniej o to, aby nie malować żołnierzy, maszerujących i galopujących koni profilem, bo wtedy cały efekt stracony, a tylko — z przodu lub z tyłu. Ale i to nie w zupełności do sprawienia efektu wystarcza. Najlepszy mamy przykład, jak to razi, gdy warunek ten nie jest uwzględniony, — na panoramie Racławickiej. Widzimy tam naprz. wściekle nacierających chłopów z dziwnie pokrzywionymi, tułowiami i członkami, którzy nie wywołują należytego wrażenia, ponieważ nie można na tyle się zapalić, aby widzieć w nich to, czego tam wcale niema, to jest jakiego takiego złudzenia ruchu. Gdyby zaś byli do nas zwróceni przodem, dałbym głowę, że widzowie mimowoli cofaliby się z drżeniem przed tak strasznym zastępem. Tu pozwolę sobie dodać jeszcze *ad usum* twórców tej panoramy, że ona nie przypomina bitwy niewłaściwym swoim rozkładem wojsk walczących, że jestto właściwie nie bitwa, ale jakiś nieruchomy karuzel z partyami, które oddzielnie wzięte, są może z ładne, ale w całości, jako panoramiczne wyobrażenie batalii, wprost śmieszne.

Takich wad panorama tatrzańska mieć nie będzie, takich trudności zwalczać nie potrzebuje. Cisza; jakiej zwykle w panoramach na podyum przestrzegają, nie tylko w niej razić nie będzie, ale owszem będzie nadzwyczaj harmonizować z widokiem Tatr, w których panuje zazwyczaj spokój jakiś uroczysty gdy natura pogodą je darzy.

Panorama tatrzańska posiadać będzie zatem dwie znakomite zalety, których inne mieć nie mogą. *Po pierwsze*: będzie przystępną, zrozumiałą i zarówno cenną dla wszystkich, którzy ją oglądać będą, bo któż natury nie lubi, a tem samem więc nie będzie wzbudzała w nikim niechęci i namiętności*), nie będzie obrażała niczyich uczuć, ani nastręczała sposobności do drwin i szykan, będzie bowiem absolutnie *p r z e d m i o t o w ą*. *Po drugie*: braków jakie rażą w innych panoramach, zwłaszcza batalistycznych, a które pomimo najlepszej chęci widza, rozwiewają owo konieczne złudzenie i neutralizują urok, jaki rzucać powinny.

Warto też zaznaczyć i trzecią jej zaletę. Jak wszystkie panoramy, będzie i ona miała charakter *popularyzacyjny*, tem donioślejszy, niż w innych, że zadanie to spełniać będzie bez zarzutu. A czyż nie wielkie zadanie zapoznawać z najpiękniejszym urywkiem natury polskiej szerokie masy tych wszystkich, którzy są za ubodzy, aby ją na miejscu podziwiać mogli?

Wyobraź więc sobie Szanowny Czytelniku, że panorama tatrzańska jest już skończona i że opłaciwszy się w kasie, wchodzisz sobie na podyum. Rozglądasz się — jesteś w uroczych Tatrach. Naokół spokój uroczysty, którego żaden brutalny hałas nie zamąca. Zostajesz w jednej chwili oczarowany, co ci nie przeszkadza napawać się zarazem przyjemnym zapachem ziół tatrzańskich. Ale już dawno w Tatrach nie byłeś i myślisz, jakby to dobrze było, gdyby ci kto wyjaśnił, w jakiem miejscu się znajdujesz. Naraz staje przed tobą Wojtek Roj, we własnej postaci, znany ci doskonale drab i wąsal zakopański, i, grzecznie uchylając kapelusza, pozdrawia cię „Pochwalonym". On cię z kłopotu wybawia, objaśnia ci, że jesteś na Miedzianem, a potem ciupagą wskazuje ci wszystkie po kolei wirchy, doliny i stawy, a ty słuchasz i słuchasz. Naraz dolatują cię z oddali słabe odgłosy góralskiej kobzy lub rzewne tony skrzypek Sabałowych... Zupełnie zapominasz, gdzie jesteś, rzucasz się naprzód, aby piąć się po tych piargach i żlebach, po tych wantach i turniach, aby spocząć na tej jasnej, upłazowej trawie i dopiero baryera cię ostrzega, że się łudzisz, że to nie Tatry a — Panorama!

. . . .

Dodaję parę szczegółów. Na panoramie dla „ożywienia" pejzażu namalowana będzie z jednej strony grupa odpoczywających turystów, z drugiej kierdel owiec z juhasami, a tu i owdzie rozrzucone będą po skałach kozice.

Cała powierzchnia płótna wynosić będzie 1,800 metrów kwadratowych. Obwód liczyć ma 120 m., a wysokość obrazu 15 m. Panu Piotrowskiemu w pracach dotychczasowych gorliwie pomaga młody malarz p. Janowski.

*) Chyba tylko w ks. Hohenlohe. (Patrz proces o Morskie Oko).

W. Nakęski.

---

z orszakiem znikłej chwały, i podczas, gdy ludy zamieszkujące światy powstawały w głębinach przestworza, upuszczając śmiertelne całuny i chodząc po kwiecistych szlakach życia — zamieniła się tą płodna przeszłość w teraźniejszość i miliony słońc, zgasłych w rozmaitych erach, zabłysło nowem światłem. Niebo ukazało się zasiane niezliczonemi gwiazdami, których nasze śmiertelne oczy nigdy nie oglądały, a światło życia błyszczało na szlakach niebieskich, rozciągając się w nieskończoność.

Nagle, olbrzymia czarna zasłona spadła z wysokości na tę jasność — i myśl nasza przestała pracować. Przed tą zasłoną planeta, na której mieszkamy biegła z szybkością stu milionów kilometrów na godzinę. Ujrzałem się znów jednym z zwykłych mieszkańców ziemi, którzy żyją nie widząc nic ponad widnokrąg i wyobrażając sobie, że tak w czasie, jak przestrzeni istnieje jedna maluczka ludzkość.



KRONIKA KRAKOWSKA

6 listopada.

(Ze sztuki i literatury.)

Sprawozdanie z ubiegłego tygodnia muszę wypełnić samemi tylko wiadomościami z dziedziny literatury i sztuki, życie bowiem publiczne i społeczne w Krakowie tak jakoś nagle zamarło, że nie da się z niego żadnych szczegółów na eksport wyciągnąć.

Na ostatniem posiedzeniu wielkiego wydziału Kasy oszczędności miasta Krakowa, zawiadomił dyrektor tejże kasy p. Franciszek Ślęk o dokonanej już zupełnie restauracyi kaplicy Jagiellońskiej na Wawelu. Niejednokrotnie zaznaczałem, z jaką starannością i z jakim pietyzmem przeprowadzono tę restauracyą, ażeby zapewnić trwałość tego „najpiękniejszego zabytku renesansu z tej strony Alp“, a jednocześnie nie uronić, nie zmienić najdrobniejszego szczegółu tak w jego konstrukcyi jak ornamentyce.

Na wystawie sztuk pięknych pojawił się nowy obraz Jacka Malczewskiego „Kolorado“. Jest to utwór pełen prostoty i szczerości, a dziwnie odbijający techniką od innych obrazów Malczewskiego.

Aleksander Gierymski, który przez czas dłuższy zamieszkał w Bronowicach pod Krakowem, gdzie stale przebywa inny malarz, Włodzimierz Tetmajer, wybiera się w podróż na Wschód.

Z Londynu dochodzi wieść o powodzeniu krakowianki, panny Olgi Boznańskiej, na wystawie londyńskiego Stowarzyszenia Portrecistów; wystawiona przez nią praca zwróciła na siebie uwagę świetnością charakterystyki i kolorytu. Boznańska niedawno otrzymała medal na wystawie monachijskiej.

Sympatyczny portrecista i pejzażysta Dyrdoń leży na łożu śmiertelnem. Suchoty rozwinęły się gwałtownie — nie ma żadnej nadziei ratunku.

W teatrze nic nie słychać o nowościach oryginalnych. Nie przypominam sobie, aby w obecnym sezonie ukazała się na afiszu nowa orginalna sztuka polska. Same tłomaczenia lub wznowienia, wypełniają repertoar teatralny. A przecież dochodzą nas wieści o nowych sztukach. Bałucki już ukończył podobno nową trzyaktową komedyą, Sewer złożył dyrekcyi krotochwilę „Na Wystawie“, we Lwowie wystawiono „Marudera“ Graybnera, dramat Ceysingerówny, nagrodzony przed dwoma laty na konkursie, wciąż leży na składzie w dyrekcyi teatru. Napis na gmachu teatralnym: *Kraków narodowej sztuce* staje się coraz więcej *lucus a non lucendo*. Wystawienie „Dożywocia“ nie powiodło się; rzeczy fredrowskie, mimo niezaprzeczonej swej wartości, tracą coraz więcej na scenie, „Druga żona“ A. W. Pinero, tłumaczona z angielskiego, przyjęta została dość chłodno. Debiutowała w niej na scenie p. Veron (Kaplińska) córka emigranta, wychowana we Francyi. Pomimo błysków talentu i doskonałych zewnętrznych warunków, nie mogła debiutantka opanować roli bardzo wybitnej, wymagającej rutyny; cudzoziemski akcent psuł również wrażenie.

Jak wiadomo, ministerstwo Oświaty przeznaczyło 30,000 zlr. na przyozdobienie gmachu uniwersyteckiego, za którą to kwotę miały być nabyte od Matejki obrazy, tyczące się dziejów uniwersytetu. Ponieważ Matejko umarł, przeto z tej kwoty tylko część przeznaczono na zakupno jednej z podkończonych jego kompozycyi. Właśnie w ubiegłym tygodniu naradzał się senat akademicki, na co obrócić sumę pozostałą. Przyjęty został projekt wystawienia pomnika Kopernikowi na dziedzińcu biblioteki uniwersyteckiej. Dziedziniec to jeden z najpiękniejszych tego rodzaju w Europie, nawet słynny dziedziniec uniwersytetu padewskiego ustępuje mu w piękności. Brzydzi go tylko studnia, na której właśnie miejscu ma stanąć pomnik Kopernika.

Z pola literatury nie wiele jest do doniesienia. O rozpoczętych przez Bałuckiego i Sewera powieściach donosiłem już w poprzednich korespondencyach. Prof. Tretiak znalazł w muzeum XX. Czartoryskich ośm listów Krasickiego, które mu posłużyły do napisania rozprawy „Ignacy Krasicki jako prezydent Sądu“. Księgarnia Spółki Wydawniczej przystąpiła do wydania pierwszego zbioru poezyi O. Karola Antoniewicza. Dziś się ukazał drugi tom „Rzeczy o roku 1863“ Stanisława Koźmiana. Niezadługo wyjdą poraz pierwszy zebrane Studya St. Tarnowskiego do historyi literatury polskiej XIX wieku.

„Związek literacki“ przeniesiony został do nowego lokalu. Stowarzyszenie to ma zamiar wydawać własnym nakładem Tygodnik literacki. Mówiono przez pewien czas, iż Sewer rozpocznie od Nowego Roku wydawnictwo pisma tygodniowego. Mówiono również, iż p. Kaczurba, wydawca licznych przedruków i albumów, nosi się z myślą wydawania pisma tygodniowego illustrowanego w rodzaju warszawskiej „Biesiady literackiej“.

W tych dniach sprzedano na licytacyi publicznej obraz jednego ze znanych artystów, mający przeszło dwa i pół metra wysokości a 4 metry szerokości. Sama wartość płótna i ram wynosiła koło 80 zlr. Chętnych do nabycia było sporo i dzięki temu sprzedano obraz aż za..... 83 zlr. Inne mniejsze obrazy także w ramach i to dość ozdobnych były płacone średnio po 10 do 15 zlr. Jestto dobra illustracya zapału i poszanowania dla sztuki w Krakowie.

K. Bartoszewicz.

Z estrady i sceny.

(Jak myślicie? Komedya fantastyczna w 4 aktach, 6 odsłonach p. Kazimierza Zalewskiego).

Po hymnach pochwalnych, wyśpiewanych przez *krytykę* poznańską na cześć Kazimierza Zalewskiego lękam się nieomal dotykać najświeższej premiery, lubo w tym wyjątkowym wypadku znalazłem sprzymierzeńca w opinii publicznej. „Świetna technika“ — „porywająca prawda“ — „znakomita odpowiedź na „Honor Sudermanna“ — oto kilka kwiatków stylowych, które czasopisma nasze z kokieteryjnym uśmiechem wpięły do butonierki pana Zalewskiego. Co do mnie, to mimo całego szacunku dla warszawskiego pisarza na taką galanteryą zdobyć się nie mogę.

Sztuka Kazimierza Zalewskiego należy do kategoryi utworów, określanych w języku francuzkim wyrazem „*cas de conscience*“. Nie lubię tej scenicznej kazuistyki, bo w pogoni za sensacyjną „kwestyą“ gubią autorzy po drodze zmysł obserwacyjny i prawdę życiową. Dla zagadnień akademickich szuka poeta realnej sukienki, a wtedy zdarza się, zawsze nieomal, że suknia jest za ciasną lub za krótką i tylko przez sztukowanie i naciąganie budzi złudzenie naturalnego przystosowania. Zresztą tam, gdzie na pierwszy plan wysunięta jest „*kwestya*“, tam, gdzie katedralne „Jak myślicie?“ jest dominującym i apriorystycznym fundamentem utworu, zamieniają się często ludzie dramatu lub komedyi w tekturowe figurki, ozdobione etykietami pojęć etycznych bez krwi i kości. Są to dramatyzowane formułki, — ilustracye zagadnień moralnych, zrodzone w mózgu poety, lecz nie wykradzione z wielkiego rojowiska żywych charakterów.

Zdaje mi się, że Kazimierz Zalewski odkrył samoistnie piętę Achillesową utworu swojego, bo na afiszu umieścił słowa „komedya fantastyczna“. Firma ta jednak nie osłabia w niczem doniosłości zarzutów moich, a zmniejsza jedynie winę autora otwartem wyznaniem błędu. Z tą samą chwilą albowiem w której dramaturg stawia poważne pytanie, czy *absolutna szlachetność winna być dyrektywą ludzkich postępków*, — z tą samą chwilą, w której zręcznem ustawieniem pionków pragnie obudzić przekonanie, że każdy z nas znaleść się może w położeniu, nasuwającem równe lub podobne wątpliwości, — z tą samą chwilą wkracza w dziedzinę praktycznego życia i musi poddać się krytyce opartej na fundamencie realnych obserwacyi. Z tego stanowiska jednak nie podobna mi utworu pana Zalewskiego zaliczyć do rzędu arcydzieł dramatycznej literatury, a chociażby tylko do kategoryi owych komedyi lub dramatów, których się słucha cierpliwie z pewnem uczuciem zadowolnienia artystycznego.

Przedewszystkiem zastanowić się należy nad realnością warunków, w których autor swój „cas de conscience“ umieścił i przeprowadził. Posłuchajmy krótkiej fabuły. Był sobie bogaty obywatel wiejski, w którego domu wychowywał się syn *naturalny*, nazwiskiem Szymczak, — człowiek o nizkich instynktach i namiętnościach. Po śmierci Nababa nie znaleziono żadnego testamentu, a majątek olbrzymi przysądził trybunał kuzynowi jego Chromiszewskiemu. Szymczak nie uznaje wyroku i procesuje się z szczęśliwym spadkobiercą o miljony ojca swojego, a gdy żadne wybiegi prawne pożądanego nie odnoszą skutku, gdy resztki fortuny jego pochłaniają adwokaci, gdy syn za kradzież gnije w więzieniu, a córka jedyna spada do rynsztoku, wtedy rozpija się pieniacz uparty, żyjąc z jałmużny, którą mu ofiaruje wspaniałomyślny przeciwnik. Chromiszewski tymczasem prowadzi dom ne świetnej stopie, przyzwyczaja córkę i syna do wygód i komfortu, podnosi rozumną administracyą wartość odziedziczonych majątków, — hojny filantrop otoczony szacunkiem i uznaniem świata. Tak mija lat kilkanaście w niezakłóconym szczęściu i spokoju, gdy nagle zjawia się upiór nędzy, — grom z jasnego nieba. W starem biurku odkrywa Chromiszewski przez dziwny zbieg okoliczności skrytkę tajemniczą (oczywiście), a w niej testament zmarłego Nababa. Testament ten mianuje wyłącznym spadkobiercą Szymczaka, który przed laty naprożno rozbijał szafy i łóżka, szukając ostatniej woli ojca swojego. O egzystencyi fatalnego dokumentu nikt nie wie oprócz Chromickiego. „To be or not to be? That is the question“. Zniszczyć testament i żyć dalej w dostatkach, czy oddać go znikczemniałemu przeciwnikowi i stać się żebrakiem? Oto jest pytanie! Po krótkiem wahaniu decyduje się Chromiszewski postąpić według zasad absolutnego honoru. Oddaje wszystko, nie zabiera nic, a Szymczak, zamiast dziękować, pastwi się brutalnie nad dobroczyńcą swoim. Teraz zaczyna się tragedja nędzy. Widzimy rodzinę Chromiszewskich na brudnym strychu, pozbawioną niezbędnych środków utrzymania. Ojciec i syn szukają pracy naprożno, — wszyscy odpychają nędzarzy. Panią Chromiszewską niebezpieczna choroba chwyta w śmiertelne uściski, a nie ma grosza by kupić lekarstwa. Córkę jej opuszcza narzeczony, łowiec posagowy, a w ostatnim obrazie mróz i zima otacza Hiobów, wyciągających rękę po chleb, — po jałmużnę. Szymczak tymczasem pławi się w bogactwie, a syn jego — kryminalista i córka — ulicznica zawijają do portu małżeńskiego, na którym błyszczy korona hrabiowska.

Fabuła ta ujęta jest w ramy dramatyzowanego opowiadania. W akcie pierwszym jest raut na scenie. Ktoś rzuca kwestyą idealizmu i realizmu, powstaje spór i szermierka zaprawiona flirtem, aż wreszcie pan domu oświadcza: „Posłuchajcie! opowiem wam zmyślone zdarzenie, a wy sąd wydacie!“ W ostatnim akcie znów to samo towarzystwo wstępuje na scenę. Rozwija się dosyć banalne pro i contra, a złośliwi goście posądzają gospodarza, że opowiedział rozdział z własnego życia. Jeden z obecnych uderza go po ramieniu i mówi pół żartem, pół

seryo: „Jeźli to wszystko jest prawda, dobrze uczyniłeś, żeś zniszczył testament“. Oto powiastka pana Zalewskiego. Jak myślicie? Co do mnie to pomijając już usterki techniczne niektórych aktów słuchałem sztuki z tym gryzącym niesmakiem, który w umyśle, miłującym prawdę, obudzić musi *sztuczna* rzeczywistość. Być może, że gdzieś na innych planetach, na Jowiszu lub Marsie, panują podobne stosunki jak w sztace pana Zalewskiego, ale u nas na ziemi miljonerzy pracowici, rozsądni i uczciwi nie umierają z głodu, choć *absolutna szlachetność* pozbawi ich możności trzymania koni cugowych i umundurowanych lokaji. Stary Chromiszewski jest człowiekiem sprężystym, rozumnym i rutynowanym w biurowem rzemiośle, młody posiada wykształcenie, zdrowie i wiedzę agronomiczną, cała rodzina ma mnóstwo stsunków w świecie obywatelskim i finansowym, uczciwe imię i aureolę idealnego honoru, którą opromienić ich musiała szlachetna abdykacya na korzyść starego Szymczaka. Z takim patentem w ręku ludzie nie giną na brukn. Wierzę, że pałacowe życie pozostanie dla nich wspomnieniem. ale ten strych z umierającą bez lekarza matką, ten Zdzisław i Teresa w łachmanach na tle zimowego krajobrazu, — to wszystko zakrawa na lichy melodramat, na fantastyczne naginanie rzeczywistości do apriorystycznej tezy. A główny przedstawiciel „kwestyi“ pana Zalewskiego, to nie *człowiek idealny*, lecz *pojęcie idealizmu* ubrane w siwiejącą brodę i angielski tużurek. Pomijam już problematyczność tej wygórowanej szlachetności, która nietylko zrzeka się dziedzictwa, lecz i tego *plus materyalnego* o które rozumną administracyą i pracowitością wartość odziedziczonych majątków powiększyła — pomijam fakt, że takiej abdykacyi „*najabsolutniejszy*“ honor wymagać nie może, bo tu już ze zwrotem cudzego majątku zbyteczna darowizna łączy się poniekąd, — ale nie mogę zgodzić się na realizm typu, dla którego autor na palecie swojej znalazł tylko jedne barwę. To nie żywy człowiek, lecz fonograf deklamujący teorye szlachetności. Walka instynktów ludzkich zjawia się tu tak przelotnie, mija z tak błyskawiczną szybkością, i tak nagle rozpływa się znowu w bezgranicznym sentymentaliźmie honoru, że potęgą prawdy przemówić do nas nie myże Moment walki wywiera tu takie wrażenie jakby autor powiedział sobie: „Trzeba ten typ uprawdopodobnić“ — i przylepił jakiś słaby akcent ludzkiej chwiejności.

Nie chcę tu rozstrzygać kwestyi, czy istnieją lub istnieć mogą ludzie o tak wygórowanych pojęciach honoru jak Chromiszewski, ale do żywych zaliczyć nie mogę postaci scenicznej, która odsłania mi tylko jednę stronę charakteru, gra tylko jedną melodyę i rozpływa się cała w jednej barwie. Chcę ludzi znaleść na scenie, a w duszy ludzkiej strun więcej widzę niż w cytrze i wiem, że jednostajności tam niema, lecz tonów i dysonansów nie mało. Podobnie szablonowe. sztuczne a poniekąd blade są inne postacie komedyi, z wyjątkiem epizodycznej figury radzcy — pieczeniarza, którą z porywającą prawdą i humorem odtworzył p. *Marceli Trapszo*, i starego Szymczaka, wyrastającego żywym indywidualizmem ponad wszystkich innych bohaterów sztuki. Dominującym przymiotem tej oryginalnej postaci jest brutalna i mściwa zawziętość, ale przez pokłady zasadniczej barwy przenikają także inne kolory serca ludzkiego. Jakieś zawstydzenie chwilowe przed idealną potęgą przeciwnika, jakiś żal rozpaczliwy za dziećmi, które poszły na marne, jakaś wiara bezgraniczna w sprawiedliwość tego, który mu był ojcem, jakieś sztuczne zagłuszanie bólu i zabijanie pamięci, — cała ta mozaika duszy ludzkiej i zwierzęcej przemawia do nas krwią, ciałem, życiem i plastyką. Jest to bezwarunkowo typ znakomicie skreślony i wykończony subtelnie, — jest to jedyna nieomal rekomendacya sztuki. A znalazł ten stary Szymczak, z dziką zemstą i boleścią w piersiach, prawdziwie artystycznego przedstawiciela w panu *Królikowskim*. Zdolny aktor zrozumiał wszystkie intencye pana Zalewskiego, odczuł szorstkość i brutalność typu, przeistoczył się w pół-zwierze odrażające, które chwilami tylko jakieś ludzkie wzruszenie ogarnia. Winszuję panu Królikowskiemu szczerze tej kreacyi, bo dowiodła ona znowu, że talent jego nie spleśniał, lecz jest w pełni swego rozwoju. Z innych artystów wymieniam tu tylko pana *Skirmunta*, który silił się, aby w fantastyczną postać Chromiszewskiego wsączyć odrobinę krwi ludzkiej, i p. *Sosnowskiego*, którego smutek był prawdziwy i nie wymuszony. Z kobiet zasługuje na uznanie swobodna i dość naturalna panna *Zimajer* w roli salonowej flirtki, oraz pani *Majdrowiczowa*, która w scenie z matką narzeczonego znalazła kilka szczerszych akcentów. Panna *Wróblewska* w roli rezonerki Waleryi nie znalazła pola do artystycznego popisu, ale deklamacyą wyraźną i dźwięczną wywarła korzystne wrażenie, lubo jakiś nieokreślony grymąs fizyonomii psuł chwilami estetyczne wrażenie jej dykcyi i ruchów. Gra pana *Jakubowskiego* w roli spekulanta na posag Teresy była trafnie indywidualizowaną i konsekwentną: pani *Jakubowska* natomiast odznaczała się brakiem elegancyi w ruchach i dykcyą nienaturalną. Całość przedstawienia wywierała przykre wrażenie fatalnym układem scen ensemblowych i ślimaczem tempem w zbiorowych dyskusyach, a błąd ten raził tem więcej publiczność, ponieważ pierwszy akt nosi znamienną cechę wodnitej rozwlekłości. Tak! Nawet niezaprzeczony talent techniczny opuścił tym razem pana Zalewskiego, bo prolog sztuki, to monotonny kołowrot, a następne trzy akty szereg nużących dyalogów.

Dr. Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Cyt!)

Gdyby ktoś zapytał się o kamerton naszej opinii publicznej odpowiedziałbym mu jedno maleńkie słówko:

Cyt!

Syczący ten wyraz jest dominującą melodyą życia naszego. Dzienniki mówią: Cyt! związki i towarzystwa: Cyt! dyrekcya teatru: Cyt! komitety i korporacye: Cyt! Koło polskie: Cyt! we wszystkich sprawach życia publicznego Cyt! i Cyt! bez końca. Jakiś cudzoziemiec powiedział pono, że my Polacy jesteśmy „narodem pozorów“, a satyryczny ten wyrok pragnąłbym mianowicie w pamiętniku poznańskiego społeczeństwa zapisać. Wy bowiem, najbliżsi sercu mojemu ziomkowie, uprawiacie ten kult pozorów z fanatyzmem prawdziwym. Niech tam sobie wewnątrz będzie próchno lotne, lub zgnilizna lepka: byleby tylko powierzchnia była lśniąca, błyszczącemi klinklinami strojna, pudrem i różem przysypana, my spać będziemy spokojnie z uśmiechem starej kokietki na ustach. A biada temu i po trzykroć biada, kto śmiało uchyli barwne dekoracye i sięgnie ręką „w ropiejące rany“. Zrazu głos jego powitają u nas grobowem milczeniem: Cyt! Odważny krytyk energiczniej powtarza analizę swoją. I znowu Cyt! ale wymowniejsze, zaopatrzone dyskretnym komentarzem, że niegodzi się alarmować społeczeństwa. Wtedy nieubłagany werysta po raz trzeci powtarza swoje: „Pawiem narodów byłaś i papugą“, uderza w kilka dzwonów rozgłośnych i tąk stróżów opinii publicznej przyciska do muru, że złamać muszą zasadę milczenia. Naiwny marzycielu! Nie tryumfuj zawcześnie! Okrzykiem twoim poruszyłeś gniazdo szerszeni i z walki wyjdziesz oplwany, ranami i błotem okryty. Ci, którzy w czterech ścianach dyskretnej izdebki przed analizą twoją uchylili czoła, — ci, którzy w poufnej dyskusyi pochwał nie szczędzili dla krytyki twojej, lub przynajmniej lękliwem połsłówkiem szeptali uznanie, — ci, którzy unikali rozmowy o drażliwym temacie, a tem samem zdradzali poniekąd świadomość ukrytej choroby, — ci wszyscy w stanowczej chwili ubiorą fizyonomie swoje w miny zdziwione i zaprą się ciebie jak św. Piotr; apostoł, Nazareńczyka. I nie dość na tém! Chociaż postępowanie dowodowe odsłoni zgniliznę, chociaż w analizie twojej prawdę zupełną lub cząstkę prawdy uzna sędziów oko, nikt słowa sympatyi dla twoich uczciwych intencyi i rewelacyi nie znajdzie, lecz przeciwnie, stanie na trybunie poważny mąż „ładu i porządku“, arcykapłan maskarady społecznej, i powie ci głosem patetycznym: „Czyn twój jest n i e o b y w a t e l s k i m. Potępiamy cię śmiałku zuchwały!“ Wyrok ten powtórzą wszystkie dzienniki „ładu i porządku“, słowa przeciwników ustroją firmą „świetnych i znakomitych przemówień“, a na proteście twoim i wyjaśnieniu przybiją stempel oburzającego występku.

Czemu ja to wszystko mówię? Poruszałem już nieraz pokrewne tematy i cała moja działalność publicystyczna nosi na sobie piętno tej skargi. Lękam się, że was znudzę tą starą piosenką, ale kronika dziejów poznańskich zapisała w najświeższym czasie fakt, który rozżalił serce, nie upatrujące w życiu narodowem balu maskowego. Mówię o sprawie mecenasa Wyczyńskiego z Brodnicy. Rozumny ten działacz narodowy położył około rozwoju „Spółek zarobkowych“ znakomite usługi, bo czynności jego oparte były nietylko na dobrej woli lecz w równej mierze na dokładnej znajomości terenu i stosunków. Mecenas Wyczyński jednak należy do owej garstki obywateli, która cieciubabki społecznej nie podnosi do wyżyn maksymy narodowej, i analizując choroby organizmu naszego; nie durzy społeczeństwa zmyśloną diagnozą, blichtrem i pozorem, a ponieważ nadto jest wyznawcą katechizmu liberalnego, nie wierzy w problematyczne autorytety i posiada dosyć odwagi cywilnej, aby swoich przekonań nie więzić w sekretnych kieszonkach, zatem nic dziwnego, że bractwo „ładu i porządku“ raczyło go zapisać na indeksie „wichrzycieli“. W najświeższym czasie „wichrzyciel“ ten znowu zaniepokoił opinią, a „ojcowie narodu“ jak na komendę powitali syczącem „Cyt!“ rewelacye jego.

Już w ubiegłym roku spostrzegł mecenas Wyczyński. że w „Spółkach Zarobkowych“ nie wszystko prawidłowym rozwija się trybem, że w sprawach administracyjnych króluje lekkomyślność i „przyjacielska usługa“, że do urzędowej kontroli wkradła się przymieszka względów i względzików, a praktyki finansowe wykazują anomalie pewne. Obserwacye swoje zakomunikował p. Wyczyński piśmiennie księdzu patronowi, a gdy nie zaszczycono żadną odpowiedzią interpelacyi jego, nie wahał się zarzutów swoich wraz z dowodami publikować w liście otwartym, rozesłanym redakcyom i wybitniejszym obywatelom Księstwa. W całej prowincyi wszczęło się larum hałaśliwe. Milczeć dłużej było niepodobieństwem, a patron nolens volens czuł się zniewolonym przedstawić sprawę na sejmiku Spółek Zarobkowych. Zawrzała tedy walka na słowa, a lubo w toku szermierki nikt zaprzeczyć nie mógł, że oskarżenie mecenasa Wyczyńskiego jest w znacznej części uzasadnione, lubo filipiki wszystkich przeciwników zawierały poniekąd przynajmniej potwierdzenie niepokojącej diagnozy, uchwalili uczestnicy sejmiku znaczną większością głosów rezolucyą, piętnującą postępowanie p. Wyczyńskiego jako *niewłaściwe, niesłuszne i nieuzasadnione*. Lecz nie dość na tem! Jeden z głównych mówców i najpoważniejszych wrogów k r y t y k i oświadczył wyraźnie, że oskarżyciel dopuścił się czynu „*niekoleżeńskiego i nieobywatelskiego*“. Zasada „Cyt!“ zwyciężyła, — śmiałek zdeptany, — honor narodu ocalony!

Nie myślę bynajmniej postępowania pana Wyczyńskiego bronić bez zastrzeżeń. Uznaję przeciwnie, że forma oskarżenia budzić może poważne wątpliwości, bo człowiek, który zbadał niebezpieczne rany w organiźmie Spółek Zarobkowych i znalazł odwagę stanąć przed trybunałem opinii publicznej z analizą swoją, zapomniał zupełnie, że w normalnej drodze instancyi winien przedstawić ciężkie inkryminacye. Pan mecenas Wyczyński nie wytoczył sprawy na posiedzeniach patronatu i nie odwołał się

do cpinii sejmiku, lecz podrażniony milczeniem księdza Wawrzyniaka, ostatecznego uchwycił się środka i w liście otwartym ogłosił oskarzenie swoje. Ten radykalizm formy nie uprawnia jednak nikogo do piętnowania poważnych zarzutów mianem „*nieobywatelskiego*“ postępku. W rewelacyach p. Wyczyńskiego widzę przeciwnie to rozumne pojęcie obowiązków obywatelskich, które pragnie, aby życie naszych instytucyi było otwartą księgą, aby społeczeńsiwo poznańskie poznało rany swoje, aby zaufanie jego nie opierało się na ślepem zaufaniu do autorytetów i ogólnikowych bilansów, lecz na dokładnej i wszechstronnej znajomości administracyjnych tajników naszych spółek, banków, komitetów i t. p. To polskie „Kochajmy się“ jest bardzo sympatyczną dewizą w sprawach życia publicznego, ale z tą samą chwilą, w której dewiza ta staje się łańcuchem dla krytyki i puklerzem maskarady społecznej, cały mój pietyzm dla tradycyjnych haseł topnieje, bo z tak pojętego toastu naród jedynie truciznę wysączyć może. Jeżeli faktem jest, że do zarzutów pana Wyczyńskiego zakradła się pewna doza przesady, to błąd należało sprostować, ale nie mniej faktem pozostaje, że maszynerya naszych Spółek zarobkowych nie funkcyonuje prawidłowo, i że ten potępiony publicznie obywatel odsłonił takie rysy i rany, które, pokryte werniksem milczenia, pozorami zdrowia łudziły publiczność. Otwartość krytyki jest podstawą wszelkiej reformy, — cierpią na tem może jednostki, ale zyskuje sprawa. Tam, gdzie wielkie organy opinii publicznej każdy objaw zmysłu krytycznego witają bluźnierstwem, tam, gdzie patent obywatelskości otrzymują jedynie usta zapieczętowane i armia dekoratorów, tam, gdzie rozumny i śmiały analityk zdobywa sobie stempel wichrzyciela, tam, gdzie każdą reformę zagłusza wrzask skamieniałej filisteryi, — tam w sprawach publicznych królować musi połowiczność i dyletantyzm, a naród w wirze balu maskowego duszę sobie wytańczy. Ostatniem słowem jego będzie: *Cyt!*

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

O pracy **J. Snitki** p. t. „Nowocześni pogromcy przeszłości narodu polskiego w literaturze historycznej“. ogłoszonej w „Przeglądzie Poznańskim“ zamieszcza „Kraj“ petersburski następującą ocenę:

„Rzadko można się spotkać z broszurą tak jasno i trzeźwo napisaną. Z pseudonymu trudno domyślić się autora. Jest nim albo historyk, albo znakomity znawca dziejów i literatury historycznej. Wobec do przesady powtarzanej bajeczki, iż nowa szkoła historyczna pierwsza zerwała z idealizowaniem przeszłości, którą to bajeczkę, stworzoną przez stronnictwo. powtarzają bezmyślnie dziennikarze, nieświadomi nawet elementarnych faktów dziejowych, autor wykazuje, iż t. zw. szkoła lelewelowska mówiła o słabych stronach przeszłości otwarcie i z całą szczerością. Idealizowanie istniało w poezyi i literaturze pięknej, ale taka była i jest jeszcze po części literatura i poezya wszystkich narodów. Nowa szkoła historyczna popisywała się tylko bezwzględną krytyką przeszłości; w zapale i ferworze potępiała wpływ Zachodu, n°jświetniejsze epoki nazywała czasami politycznego upadku. Najwięcej zawinili „wirtuozi“, traktujący historyę jakby z amatorstwa. Dzięki im, obcy historycy znaleźli dla siebie obfitą strawę dla udowodnienia swych poglądów. Większa część broszury jest polemiką z prof. Karicjewem- Z polemiki tej właśnie widzimy, że autor nie jest dyletantem, ale głębokim znawcą historyi politycznej i wewnętrznej narodu. Kariejewowi zarzuca, że poglądy swoje zbyt wyłącznie opierał na pracach „publicystów“ historycznych, przejętych doktryną i do jej potrzeb naciągających fakta historyczne. Z ostatnich historyków najmniej Kariejew wierzy Korzonowi, choć wielkie jego dzieło nazywa praca „kapitalną“, i choć praca ta, jako owoc poważnych i głębokich studjów, stoi o całe niebo wyżej od amatorskich popisów dyletantów i dzieł, doktryną spaczonych. Choćbyśmy się z autorem tu i owdzie nie zgodzili, to z prawdziwą przyjemnością witamy w nim poważnego krytyka naszej historjografji. Czas byłby zaprawdę od różnić naukę od blagi i wiedzę historyczną traktować sumiennie. Nie znajdowaliby wówczas wiary politycy wszelkiego gatunku, dla których historya jest areną do skoków karkołomnych. Zarówno bowiem szkodliwą jest doktrynerja w nauce, służąca stronnictwom, jak i frazeologja szowinistyczna ze szkoły Buszczyńskiego“.

* * *

Zbiór zadań arytmetycznych na liczby całkowite, ułożyły **M Dzierżanowska i S. Sempołowska** Do niedawnego czasu brak polskich zbiorów zadań arytmetycznych bardzo odczuwać się dawał. W roku ubiegłym wydano w Warszawie zbiór zadań Thomas'a, przykłady na 4 działania w obrębie stu. Książeczka okazała się bardzo praktyczną i pożyteczną. Obecny podręcznik stanowi doskonały ciąg dalszy zbiorku Thomasa, dostarcza bowiem zadań dla dzieci, które już w małym zakresie cztery działania poznały. Zadania są bardzo urozmaicone, umiejętnie stopniowane i kombinacyjne, co jest rzeczą ważną, gdyż chroni uczniów przed szkodliwemi skutkami mechanicznej roboty, rozwija ich bystrość i samodzielność umysłową. Pragnąć należy, aby wkrótce wydano równie dobre zbiory zadań na wszystkie inne arytmetyczne reguły, co zniesie konieczność uciekania się do niemieckich lub rosyjskich podręczników.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Dzienniki francuzkie i niemieckie piszą o carze Aleksandrze III w tonie bombastycznego panegiryzmu. — Dzienniki rosyjskie donoszą, że na czas uroczystości pogrzebowych zjedzie do Petersburga 75 osób koronowanych lub członków rodzin panujących. — Prof. Hasse wygłosił w Lipsku odczyt potępiający germanizacyjną politykę Prus w obec Polaków. — Wrocławski Sokół otrzymał na petycyą podaną do magistratu o udzielenie jednej z sal gimnastycznych do ćwiczeń odpowiedź odmowną. W motywach podano, że Sokół wrocławski zamierza pielęgnować uczucie narodowe, a tem samem przeciwdziałać niemieckiej idei państwowej. Signum temporis! — Według „Voss. Ztg.“ nie podał się minister sprawiedliwości Schelling z własnej inicyatywy do dymisyi, lecz został do tego niejako zmuszony.

Teatr i muzyka. W Poznaniu wystawiono na benefis barytonisty p. Majdrowicza znaną operetkę Offenbacha p. t. Życie paryzkie. Na wyróżnienie zasługuje gra p Rapackiego, który nietylko sympatycznym głosem tenorowym, lecz również charakterystycznym komizmem zjednał sobie kilkakrotne, a zasłużone oklaski. Z innych artystów wymieniamy p. Łaską, która poprawnie odśpiewała „duet kanapowy“ w akcie III i świetną w najdrobniejszych szczegółach grę pana Marcelego Tzapszy w humorystycznej roli barona de Gondremark. — Były dyrektor teatru krakowskiego p. Glikson angażuje podobno trupę z najlepszych artystów polskich z panią Modrzejewską na czele i zamierza urządzić szereg przedstawień w Petersburgu. — Najnowsza sztuka Maksa Nordaua (autora „Paradoksów“ i „Kłamstw konwencyonalnych“) p. t. Die Kugel, nie zjednała sobie uznania krytyki berlińskiej. — Barytonista polski pan Bernhard, znany z występów swoich w medyolańskiem „Skala“, w operze lwowskiej i teatrze poznańskim bawi obecnie w Berlinie, gdzie 16 bm. przedstawi się publiczności na estradzie „Philharmonii“ We wtorek śpiewał p. Bernhard z wielkiem powodzeniem na raucie artystycznym, wydanym przez ks. Sułkowskiego w hotelu Monopol. — Znana śpiewaczka p. Marta Jankowska opuściła po kilku występach na tutejszej scenie niemieckiej Poznań i udała się do Berlina, gdzie prawdopodobnie przyjmie stałe engagement. — „Theatre libre“ zakończył w niedzielę po południu szereg gościnnych występów w Berlinie. — Mira Hellerówna udała się z Krakowa do Nowego Jorku.

Hans Sachs. W dniu 6 listopadu minęło 400 lat, jak Niemcy wydały na świat szewca i poetę zarazem. Był nim ten, który na szyldzie swego domu w Norymberdze wypisał:

Hans Sachs Schuh-
Macher und Poet dazu

Hans Sachs był najpłodniejszym z poetów, liczba jego poezyi wynosi bowiem 6205, pomiędzy któremi 208 sztuk dramatycznych; ogółem napisał pół miliona wierszy.

Jan Most — aktorem. Znany socyalista a potem anarchista Jan Most, były poseł do parlamentu niemieckiego, następnie wydalony z Niemiec i przebywający obecnie w Ameryce jako propagtor skrajnego anarchizmu, poróżniwszy się z tem stronnictwem wstąpił do teatru. W teatrze Talia w Nowym Jorku, gdzie grywa trupa niemiecka, wystąpił on już parę razy w roli starego Baumerta w dramacie Hauptmanna „Tkacze“ i zyskał wielkie oklaski. Kto wie, może właśnie teatr był jego pierwotnem powołaniem, a nie polityka.

Z „Bajeczek prawdziwych“. — Nigdy! nigdy! — wykrzykiwał zawziętym głosem kubek porcelanowy, rzucając wściekłe spojrzenia na skrzynkę z laki.

— Nigdy! nigdy! — powtarzała z większą jeszcze zawziętością skrzynka z laki, odsuwając się jak najdalej od kubka porcelanowego.

— Prędzej woda zgodzi się z ogniem, niżli ja z tobą! — wrzeszczał pierwszy.

— Prędzej sarna stanie się przyjaciółką pantery — niżli ja twoją! — ryczała druga.

— Patrzeć na ciebie nie mogę! — zgrzytnął kubek.

— Wstrętną mi jest nawet myśl o tobie! — parsknęła skrzynka.

Zatrzęsły się z szalonego gniewu i odwróciły tyłem od siebie.

Wtem weszła do pokoju otyła pani, z włosami tak jasnemi jak najjaśniejsze a l e, z twarzą tak różową jak najróżowszy r o s t b e a f. Zdjęła kubek z półki i postawiła na bambusowym stoliczku; wysunęła z kąta skrzynkę i wydobyła z niej szczyptę ziela ciemnego. Ziele zaparzyła ukropem i umieściła w srebrnym imbryku nad płomieniem spirytusowej maszynki, gdy zaś napar był gotowy, zlała go ostrożnie do porcelanowego kubka.

Po chwili, w wygodnym fotelu rozparta, piła zwolna, łyk za łykiem, złocisty napój, a rozkoszując się jego wybornym smakiem i aromatem, powtarzała dobrotliwie:

— A widzicie, żem znalazła sposób na pogodzenie was, o japoński kubku! o chińsko herbato!...

Działo się to zaś na five-o'clock-tea, w zamożnym domu — angielskim.

Zmarli:

Stanisław Różański, poseł do sejmu pruskiego, jeden z najgorliwszych obrońców polskości, energiczny działacz narodowy i patryota, zmarł 27 października w Padniewie.

Alfons Czibulka we Wiedniu, kompozytor w zakresie lekkiej muzyki.

Dr. Emil Ogonowski, prof. literatury ruskiej przy uniwersytecie lwowskim, zm. 28 paźdz.

BIBLIOGRAFJA.

Janek znad Wisły. Djabeł w szkole Poznań. W. Simon 1894. Cena 60 fen.

Krzyżanowski Anatol. Za cudze winy. powieść współczesna. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895. Cena 5 m.

Komornicki Stefan. Na stadionie Lwów Księgarnia polska 1894. Cena 40 fen.

L. Dickstein. Arytmetyka w zadaniach. Część druga. Ułamki. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa 1894.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sk. „Niwa“ zmieniała kilkakrotnie swój kierunek. Ostatnia jej faza była szczerze liberalną i demokratyczną. „Chwila“ wychodziła tylko czas krótki pod redakcyą p. Przyborowskiego.

M. P. w. P. Niebawem nadeślemy pani dłuższą nowelę Rosenkrantza-Johnsona.

100. Musimy w tej mierze zachować milczenie. Ustne porozumienie jest pożądanem. Prosimy uwiadomić nas listownie o dniu przybycia.

K. N. Henryk Sienkiewicz bawi, o ile nam wiadomo, w Paryżu.

Kosmos. Wypracowanie pańskie robi takie wrażenie, jak gdyby ktoś palec przyłożył do nosa i z miną tajemniczą obwieszczał światu, że Göthe lub Mickiewicz był wielkim poetą. Rękopis powędrował do kosza.

Zen. Za uprzejmą ocenę pisma naszego dziękujemy serdecznie. Książka, o którą pan pytasz, kosztuje 4,50 mr.

Dr Z. w Zurychu. Rzecz o hypnotyźmie zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

X. Y. Z.... 1 mr. Dotychczas zebraliśmy **573 mr 50 fen.**

O dalsze składki prosimy gorąco

Od Administracyi.

Panu A. J. w Strzelnie uprzejmie dziękujemy za życzliwość i przesyłkę; chętnie przyjmiemy i dalsze numery aż do numeru 6.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.